Zet sztuka kultura sprawy społeczne

ROK VI NR. 6-7 (117-118)
MIESIĘCZNIK POD RED. JERZEGO BRAUNA
WRZESIEŃ-PAŹDZIERNIK
CENA 50 GR.

Nad Polską wisi gniew Boży

Kilka lat temu, w latach 1933 i 1934, sformułowaliśmy na łamach „Zetu“ następujące tezy, dotyczące bliskiej przyszłości politycznej.

1) idące dziesięciolecia stać będą pod znakiem antynomii faszyzmu i komunizmu, zmierzających do generalnej rozprawy o władzę nad światem;

2) Polska, przez swe wyjątkowe położenie geopolityczne, między faszystowskim Zachodem a komunistycznym Wschodem, będzie ośrodkiem równowagi moralno-politycznej, dopóki wystąpienie zbrojne Japonii na Dalekim Wschodzie nie zwichnie tego skomplikowanego systemu;

3) zbliża się moment decydujący, w którym Polska, wytworzywszy chwilową równowagę między dwoma blokami sił, powinna wystąpić z własnym planem organizacji ładu międzynarodowego („polski system pokoju“), zdobywając w ten sposób pozycję przodującą w polityce europejskiej;

4) jeśli Polska tej misji nie wypełni, czekają ją wielkie kataklizmy społeczne i polityczne, w następstwie nieuchronnej NOWEJ WOJNY ŚWIATOWEJ;

5) aby dorość do tej roli, Polska potrzebuje: a) idei, wyłonionej z rdzenia jej geniuszu i tradycji narodowej, idei, tożsamej z jej posłannictwem historycznym, oraz b) zgodnej współpracy dwu największych obozów: państwotwórczego i narodowego, na które rozszczepia się od wieków społeczność polska.

Tezy powyższe, powtarzane przez nas z zaciekłym uporem w każdym numerze „Zetu“, napotykały na mur obojętności, apatii i ciemnoty politycznej naszych rodaków. Wszystko jedno, czy ten brak odzewu spowodowany był brakiem orientacji w koniunkturach międzynarodowych i procesach historiotwórczych, odbywających się n. b. tuż pod powierzchnią chwili bieżącej, czy też świadomą kontrakcją żywiołów obcych, agentur i mafij, zainteresowanych w tym, aby Polska dotknięta była jak najdłużej paraliżem instynktu samozachowawczego, myśli i woli. Faktem jest, że przebudzenie przyszło za późno, już nawet dla prymitywnej obrony swego „miejsca pod słońcem“, a cóż dopiero dla wypełnienia rzeczonej misji.

Moment historyczny już minął. Polska przespała swą „chwilę osobliwą“. Antynomia: „faszyzm—komunizm“ weszła już w fazę wstępnych krwawych rozgrywek (Hiszpania, Chiny) — równowaga moralno-polityczna świata, windująca Polskę sztucznie na najwyższe piętra pozycji „mocarstwowej“, została już zwichnięta, a sensu stricto załamie się całkowicie, gdy tylko wojna chińsko-japońska rozwinie się w konflikt zbrojny Sowietów i Japonii. — Wojna światowa już się nie da uchylić i wybuchnie na pewno, czy za lat 5 czy za 20, jako fatum nieuniknione. A tymczasem Polska dotąd jeszcze nie odnalazła siebie, nie posiada tej upragnionej, jednolitej idei kierowniczej, budującej duchowy kręgosłup jej przeznaczeń dziejowych. I Polska nie potrafiła dotąd, mimo gromkich haseł konsolidacji, zestroić ze sobą tych dwu rozbieżnych dynamizmów politycznych, które reprezentują dziś ideologicznie zasadę „państwo“ i zasadę „naród“.

Następstwa tego opóźnienia czy przeoczenia nie dały na siebie czekać. Wydaje się, jakby gniew Boży zawisł nad Polską za to, że zaniedbała wykonać to posłannictwo, dla którego powołana została na nowo do niepodległego bytu. W roku Pańskim 1936 naród odczuł, głębokim wstrząsem instynktu samozachowawczego, że zagrożone zostało u podstaw samo jego istnienie i trzeba mu rozpocząć paniczny wyścig zbrojeń, by zrównać choć w przybliżeniu lawinom stali, puszczonym w ruch przez sąsiadów. Jednocześnie spadać począł w przestraszającym tempie walor Polski, jako mocarstwa, na terenie międzynarodowym. Zaś w życiu wewnętrznym narodu, zamiast potężnego porywu jedności i energii, ujawnił się chaos i rozproszkowanie tak potworne, że wszelkie wysiłki ludzi dobrej woli okazują się bezradne w obliczu tego żywiołowego zjawiska. Polska wpędzona została w taki impas, że — ryzykujemy to twierdzenie — dziesięciu Hitlerów i Mussolinich nie zdołałoby jej poruszyć z miejsca i wlać życia w jej zmartwiały organizm.

Jest to tragiczne, ale już się nie odstanie. Czy jednak wolno nam zwątpić i załamać ręce, wołając: „Już zapóźno! Wszystko na nic!“? Czy nie da się zniwelować choć w części skutków tego „grzechu pierworodnego“ Polski Odrodzonej? Na pewno tak. Inaczej bowiem musielibyśmy przyznać, że w historii panuje fatalistyczny determinizm faktów dokonanych i twórcza wolna wola ludzka nie ma w niej nic do powiedzenia. Możemy wiele odrobić i zmienić. Tylko, że musi przyjść kara. To, co można było osią-

gnąć dość łatwo, na skutek wyjątkowej koniunktury historycznej, będzie wymagać dziś kolosalnego wysiłku, długotrwałej ofiary z dóbr materialnych, a może i strasznej daniny krwi, największej, jaką Polska miała kiedykolwiek złożyć w swych dziejach.

Może jednak powie ktoś, że w wywodach naszych jest dużo przesady, że wcale nie jest tak źle, że położenie nasze nie zmieniło się na niekorzyść. Przejdźmy tedy pokrótce trzy główne aspekty tego położenia, aby zweryfikować zasadnicze twierdzenia tego artykułu:

I. *Problem obrony.* — W zbrojeniach jesteśmy spóźnieni co najmniej o 2 — 3 lata, abstrahując już od prymitywizmu całego naszego aparatu gospodarczego i technicznego. To trzeba sobie jasno i odważnie powiedzieć, przy całym szacunku i przywiązaniu, jakie każdy Polak żywi dla swej armii. Być może, że za wielu generałów i pułkowników było wojewodami i komisarzami Kas Chorych, wskutek czego armia nie mogła użyć wszystkich swych sił twórczych na froncie zagadnienia obrony narodowej. Faktem jest, że aby sprostać temu warownemu obozowi, jakim są Niemcy dzisiejsze (a nawet Rosja sowiecka), potrzebujemy jeszcze dziesiątków nowych fabryk przemysłu wojennego, olbrzymiej rozbudowy dróg i sieci komunikacyjnej, dziesięciokroć zwiększonej motoryzacji kraju, no i po prostu: schronów przeciwgazowych, abyśmy, w razie wojny totalnej— jaką oglądamy dziś w miniaturze, w Hiszpanii i w Chinach, — mogli ocalić naród od strasznej masakry.

II. *Sytuacja międzynarodowa.* — Polska przestała być tym języczkiem u wagi, jakim była w okresie paktów o nieagresji i walk o „pakt wschodni". Dla Rosji udział Polski po jej stronie w rozgrywce z Niemcami jest już dziś drugorzędny, wobec jej „wspólnego frontu" z potężnymi mocarstwami demokratycznymi: Ameryką, Francją, Anglią. Dla Francji sojusz z Polską jest już i niewygodny i niepotrzebny; zdaniem niektórych jej polityków, najlepiej dla Paryża było by, gdyby państwa polskiego... wogóle nie było (patrz w „Polityce" nr 26 „Rozmowa z intelektualistą francuskim o polityce ministra J. Becka"). Niemcy, wzmocnione sojuszem antysowieckim z Japonią, ścisłą współpracą z Włochami Mussoliniego i z Hiszpanią gen. Franco, zaczynają nas lekceważyć, i kto wie czy nie grozi nam dziś z tamtej strony jakiś zamach na Gdańsk, jako nowe ogniwo w niemieckiej polityce faktów dokonanych. Dla Wielkiej Brytanii Polska również straciła wiele na znaczeniu, raz dlatego, że jej uwaga przesunęła się z problemu niemieckiego na problem Italii i Morza Śródziemnego, po wtóre zaś dlatego, że Polska nie umiała rozbudować owej neutralnej bariery między Wschodem Europy a państwami faszystowskimi (tj. bloku środkowo-europejskiego). To ostatnie, krzyczące zaniedbanie trudno dziś będzie naprawić, mimo przyjaznych stosunków z Węgrami i państwami bałtyckimi, sojuszu z Rumunią i nawiązanych ostatnio rozmów z Austrią. Oby w tej dziedzinie nasza polityka zagraniczna zdobyła się na maksimum bystrości i energii!

III. *Sytuacja wewnętrzna.* — Status quo na tym terenie prowadzi w prostej linii do przewlekłej anarchicznej rewolucji, o charakterze zarówno politycznym jak socjalnym. Argumenty na to twierdzenie mamy w spontanicznych rozruchach antyżydowskich w szeregu miast i miasteczek, oraz w ostatnich masowych ruchach chłopskich na całym obszarze Małopolski. Polsce grozi wieloletnia wojna domowa, albo na wzór rewolucji francuskiej (parcie od dołu na rząd i biurokrację), albo na wzór współczesnej tragedii hiszpańskiej (starcie frontów: „narodowego" i „ludowego"). Nierozwiązana sprawa żydowska wytworzyła ciężkie ogniska zapalne. Kwestia rolna, problem bezrobocia, problem „młodzieżowy" itp., stwarzają podłoże dla rosnącego niezadowolenia politycznego i wielkiej fali nienawiści, która może podpalić Polskę na czterech rogach (zwłaszcza przy cichym współdziałaniu obcych agentur). A tymczasem „czynniki urzędowe" zdają się nie doceniać tych niebezpieczeństw. Biurokracja nie jest zdolna postawić rzetelnie i rozwiązać żadnego z tych problemów, jednocześnie zaś jest ona, wskutek milczącej zmowy wielkiej sitwy uprzywilejowanych, potężną a bezwładną siłą, której nikt i nic nie potrafi obalić. Powstaje tak gorączkowe a bezsensowne parcie z dołu i opór bezmyślny od góry. Powoli dojrzewa u nas zrozumienie beznadziejności tej sytuacji, rodzą się wysiłki, zdążające energicznie do przemiany. Ale w wyniku tego mamy jedynie — chaos. Czy winą tego jest wyjątkowo jadowity impas, w jakiśmy zabrnęli, czy też brak tęgich głów na kierowniczych stanowiskach administracyjnych, partyjnych itd.? Z pewnością jedno i drugie. Gdzie spojrzeć, wszędzie mali ludzie, aż dziw, że taka żałosna impotencja dotknęła Polskę współczesną. Konsolidacja postępuje opieszale, pozbawiona kośćca ideowego i obciążona balastem mnóstwa zakonspirowanych jej przeciwników, spiskujących w szeregach samegoż Ozonu. „Tajemniczą wyspę" Ozonu osacza chmara wrogów: mafij i klik legionowych, klubów i stronnictw, starych, odświeżonych i nowopowstałych („naprawiacze", „sławkowcy", Lewica Demokratyczna, Klub Demokratyczny, Stronnictwo Ludowe, P.P.S., Stronnictwo Pracy, Zjednoczenie Narodowe, Stronnictwo Narodowe, i w. in.). Wszystkie te elementy konsolidują się powoli przeciwko... konsolidacji. Ta rozbijacka „konsolidacja" odbywa się też na froncie „młodzieżowym" i na froncie „ruchu robotniczego". Z tego chaosu wychodzi obronną ręką tylko montaż „wspólnego frontu" lewicy, od P.P.S. po lewicę legionową. ONR ma dużo zapału i repertuar słusznych w zasadzie haseł, ale widocznie nie jest dość silny, bo spala się w eksplozjach terroru i w bijatykach konkurencyjnych grup. Tak oto wygląda nasza sytuacja wewnętrznopolityczna. Brak myśli przewodniej, walka jałowa o personalia, chytre wykradanie sobie ludzi i ugrupowań. Znikają z oczu zasady, o które toczy się walka. Istna wieża Babel.

Tak oto degraduje się Polska od czasu, gdy zmarnowała, roztrwoniła bezmyślnie swą historyczną chwilę osobliwą. A tymczasem sprawa przedstawia się tak prosto: Zamiast tracić czas i siły na rozgrywki personalne i grupowe, pozbawione jakiegokolwiek realnego znaczenia, trzeba podjąć pracę nad określeniem wyraźnym naszego posłannictwa narodowego. Z treści jego będzie już łatwo wyprowadzić zasady odpowiedniego dla nas ustroju społeczno-politycznego. A gdy zbudujemy ten ustrój, zaród nowej kultury na zgliszczach sfaszyzowanej i skomunizowanej Europy, chmura gradowa Bożego gniewu przestanie może ciążyć nad Polską...

Poznanie prawdy objawionej przez Ducha Świętego

(Odpowiedź na art. J. Brauna: „Misja Ducha Św. w dziejach[1])

Polemika moja z red. Braunem doszła do punktu kulminacyjnego i doprowadzić powinna do ostatecznego wyjaśnienia zatargu między wrońskizmem a katolicyzmem, o ile przestrzegać będziemy tego chwalebnego zwyczaju, że idzie nam tu jedynie o wyświetlenie prawdy, a nie o pokonanie przeciwnika, o triumf jednej lub drugiej strony.

Zasada katolicka wymaga przy tym, aby w polemice szukać przede wszystkim tego, co nas łączy, a nie tego, co nas oddziela od oponenta i unikać osobistych ataków, a nawet zarzutów, którymi przeciwnik nasz mógłby czuć się dotknięty.

Wstęp ten uważam za potrzebny dlatego, że red. Braun robi mi zarzut, że ja nie ograniczam się do tego (jak powinienem), aby wykazać, czy poglądy Wrońskiego zgodne są z nauką Kościoła, ale wkraczam w dziedzinę filozofii, co do mnie nie należy; a następnie podejrzewa mnie o sprzyjanie *fideizmowi*, który — jak wiadomo — przez Sobór Watykański został potępiony.

Oba zarzuty pozbawione są realnej podstawy, co przyzna—sądzę — każdy bezstronny obserwator przebiegu całej tej polemiki, dlatego nie zatrzymuję się nad nimi dłużej. Powiem tylko, że filozof ma wprawdzie „prawo do autonomicznych determinacyj i sformułowań“ w rzeczach wiary, ale pod warunkiem, że *one zgodne będą co do treści z nauką Kościoła.*

Jeżeli nad osobistymi atakami przechodzę do porządku dziennego, to dlatego przede wszystkim, że w polemice p. Brauna widzę i podkreślam gorąco to, co nas łączy w doktrynie chrześcijańskiej i nad czym obaj — jak widzę — pracujemy: *misja Ducha Św. w dziejach.*

I.

Słusznie red. Braun podkreśla w swym artykule wielkie znaczenie Ducha Św. dla głębszego zrozumienia nauki Chrystusowej i Jego wpływ na moralnoreligijne odrodzenie współczesnego świata, domagając się w tym kierunku głębszych studiów.

Nawołują też do tego pisarze kościelni za granicą, jak kardynał Manning, ks. Gardeil z zak. OO. Dominikanów w pracy p.t. „Le Saint-Esprit dans la vie chrétienne“, a u nas ks. dr. Michał Kordel w VI-m tomie „Misterium Christi“, z radością przeto śledzę w piśmie red. Brauna zwrot w tym kierunku; mylą się jednak wrońskiści, twierdząc, że dopiero „mesjanizm i filozofia absolutna (jest) dopełnieniem obietnicy Parakleta, danej ludziom przez Jezusa Chrystusa“, jak to czytamy w artykule red. Brauna o Misji Ducha Św. w dziejach

A już trąci wprost nieznajomością historiozofii Kościoła zdanie, że „Kościół w dotychczasowym okresie swojego rozwoju, nie powiedział nam nic więcej, niż to, co zawarte było explicite w nauce Chrystusa“, gdyż objawienie Nowego Testamentu, rozpoczęte przez Chrystusa, *dopełnione zostało po zesłaniu Ducha Św. przez apostołów,* z których każdy posiadał dar nieomylności i światło z góry, a wszyscy razem ujęli i wyłożyli *całość objawienia* do tego stopnia, że teraz nic już do tego dodane być nie może, a św. Paweł mówi, że nawet gdyby anioł przyszedł z nieba i coś nowego głosił, to „niech będzie wyklęty“.

Nie pomoże tu odwoływanie się do słów Pana Jezusa u św. Jana, na które p. Braun się powołuje: *Jeszcze wiele wam mówić mam, ale teraz znieść nie możecie. Lecz gdy przyjdzie on Duch prawdy, nauczy was wszelkiej prawdy“* — bo to przyjście Ducha Św. nastąpiło już przed XIX wiekami w czasie Zielonych Świątek.

Myli się też srodze red. Braun twierdząc w swym artykule, że „Zesłanie Ducha Św. na apostołów w Zielone Świątki dało im jedynie dar pamięci i dar języków, a więc tylko moc zachowywania i rozpowszechniania danej już nauki Chrystusa“.

Przecież św. Paweł nie był uczniem Chrystusa i nawet zwalczał jego naukę, a po objawieniu, jakie miał w Damaszku, w kilka lat po śmierci Pana Jezusa, napisał 14 listów, *uzupełniających* w niejednym naukę Chrystusa, tak że dopiero łącznie z innymi listami apostołów stanowi ona *całość* zamkniętą.

Nieuzasadnione jest przeto twierdzenie red. Brauna, że „tylko kooperacja ścisła filozofii transcendentnej i religii objawionej może dopełnić obietnicę Parakleta, który „nauczy nas *wszelkiej prawdy*“ — tak samo jak nieścisłe jest zdanie, że „filozofia jest tym organem ducha ludzkiego, który ma za zadanie rozwiązać problemy nadprzyrodzone, założone przez religię“, gdyż to należy do teologii, która — jak wiadomo — liczy się na każdym kroku z autorytetem Kościoła.

To pomięszanie zakresów filozofii i teologii doprowadziło red. Brauna do zamierzeń nierealnych: do zastąpienia Credo przez Cognosco, co wywołało opozycję z mojej strony.

Aby się utrzymać przy swym zamiarze zastąpienia Credo przez Cognosco, red. Braun powołuje się w końcu swego artykułu na słowa św. Jana o Duchu Św., że *„on przyszedłszy będzie karał świat z grzechów“* (Jan. 16. 9), twierdząc, że „te słowa nie miałyby sensu, gdybyśmy je chcieli odnieść do zesłania Ducha Św. w Pięćdziesiątnicę... Można je tylko pojąć, jako obietnicę przyszłej autorewelacji Ducha Świętego w ludzkości, będącej dopełnieniem extrinsece drugiej procesji (misji) Boskiej“.

Cała ta argumentacja upada, skoro zajrzymy do komentarza Ewangelii i dowiemy się, co znaczy tu słowo: „karać“. Wyraz „karać“ posiada tu dwa znaczenia: *pouczać i przekonać.* Duch Św. po zstąpieniu na apostołów *pouczy i przekona* świat, po czyjej stronie jest grzech, a po czyjej sprawiedliwość, co stało się już i dzieje wciąż w Kościele i przez Kościół.

Nie trzeba przeto czekać, aż przyjdzie „dowód absolutny rzeczywistości przeznaczeń nadprzyrodzonych rodu ludzkiego“, który „będzie początkiem no-

---

[1]) Nr. 5 (116) „Zetu“.

wej ery, nowej perspektywy rzeczy boskich i ludzkich", — jak twierdzi red. Braun w swym artykule, ale należy raczej zapoznać się bliżej z zapoczątkowanym obecnie przez Piusa XI w Kościele ruchem odrodzenia pod nazwą Akcji Katolickiej i wziąć w nim udział. Duch Św. jest duszą Kościoła i rządzi nim za pośrednictwem widomych przedstawicieli władzy, kto przeto uczestniczy w Akcji Katolickiej i pracuje wedle możności nad *„odrodzeniem wszystkiego w Chrystusie"*, ten jest *„rządzony przez Ducha Św."* — spełniając postulat chwili obecnej, o którym pisałem w poprzednim artykule. Misja Ducha Św. spełnia się już dziś w Kościele

II.

Pozostaje jeszcze jedna rzecz do wyjaśnienia: co sądzić o roli rozumu stwórczego czyli absolutnego w poznaniu ludzkim?

Red. Braun wyjaśnił już, że rozum ten — to Duch Święty, a ponieważ otrzymujemy go przy chrzcie świętym i bierzmowaniu, powstaje przeto pytanie, czy przy Jego pomocy nie zdołamy wznieść się do takiego stopnia poznania tajemnic wiary, żeby one stały się dla nas oczywistością, a wtedy Credo zastąpione byłoby przez Cognosco, jak tego pragną wrońskiści.

Red. Braun na pytanie to odpowiada twierdząco, powołując się na słowa Pana Jezusa, że Duch Św. gdy przyjdzie „wyjaśni nam *wszystko*" i „nauczy nas *wszystkiego*", a więc objawi nam całą i absolutną prawdę.

Otóż słowa te Pana Jezusa odnoszą się do *zakresu objawienia,* które — jak wiadomo — musi się przystosować do pojęć ludzkich, ograniczonych przez zmysły, wskutek czego natura Boga w Trójcy jedynego nawet po objawieniu nie przestaje być dla nas tajemniczą i niepojętą. *„Wszystko"* oznacza tu przeto *całą treść prawdy,* jaka w danych warunkach może być przystępną człowiekowi, która jednak nigdy nie zastąpi widzenia Boga (visio beatifica), dostępnego jedynie w niebie dla wybranych.

Myli się przeto red. Braun twierdząc, że „nauka Kościoła *nie wyklucza* możliwości osiągnięcia przez kogoś, oświeconego Duchem Prawdy, doskonałego poznania rzeczywistości absolutnej".

Według nauki Kościoła poznanie to *zawsze będzie niedoskonałe i pozostawi wiele niezbadanych dla nas tajemnic w naturze i działaniu Pana Boga* tak, że na ziemi wiara nie da się nigdy zastąpić przez poznanie.

Dopiero po śmierci, gdy dusza nasza wyzwoli się z ciała i otrzyma specjalną pomoc od Boga w postaci *„lumen gloriae"* — światła chwały — zdołamy oglądać Boga twarzą w twarz, a wtedy ustanie wiara i jej miejsce zastąpi doskonałe poznanie Boga w stopniu, w jakim jest to dostępne dla stworzenia, którym pozostanie człowiek nawet po swym wstąpieniu do nieba.

Nieuzasadnione jest przeto twierdzenie Wrońskiego i jego zwolenników, że kiedyś, a może w niedalekiej nawet przyszłości, filozofia tak dalece wyjaśni prawdy objawione nam przez Chrystusa i przez Kościół do wierzenia podawane, że wiarę zastąpi poznanie: tajemnice wiary pozostaną dla nas takimi do końca świata.

Czy wobec tego nie ma nic dobrego i pożytecznego w dążeniach wrońskistów do rozumowego zgłębienia tajemnic wiary?

Owszem, jest to objaw dodatni, który może przyczynić się walnie do pogłębienia u nas religii i do moralnego odrodzenia narodu, byle wrońskiści nie poprzestawali na samym tylko studiowaniu Pisma Św. i dzieł teologicznych, ale zechcieli wejść w bliższy kontakt z duchowieństwem katolickim. Wiara bowiem — jak mówi św. Paweł — jest ze słyszenia słowa Bożego, a nie z czytania — „fides ex auditu, auditus autem per verbum Dei".

Jest to wielką zasługą redakcji „Zetu", że porusza często sprawy religijne i pisze o nich ze znajomością i pogłębieniem należytym, a zarazem z uznaniem i posłuszeństwem synowskim dla Kościoła, bo przez to przyczynia się do rozbudzenia większego zainteresowania wśród inteligencji dla tych rzeczy. Informuje przy tym nas, księży, o prądach nurtujących w duszach dzisiejszej elity umysłowej, co dla rozwoju religijności w kraju ma pierwszorzędne znaczenie.

Niemniej ważną zasługą redakcji „Zetu" jest to, że otwiera ona łamy swego pisma dla kapłanów wtedy nawet, gdy nie we wszystkim zgadzają się oni z wywodami Wrońskiego lub wrońskistów w rzeczach wiary, czego najlepszym dowodem jest mój dzisiejszy artykuł.

Takie postępowanie redakcji „Zetu" świadczy wymownie o dążeniu do wyjaśnienia prawdy i o pragnieniu poznania jej w całości, bez względu na to, czy ona nam dogadza, czy nie. W takich warunkach nawet błędy stać się mogą zasługą, o ile je przezwyciężymy, bo stają się wtedy szczeblem do wstąpienia wyżej na drodze do poznania prawdy nie stworzonej i odwiecznej.

Ks. dr. Jan Ciemniewski.

Antoni Madej

Południe dzwoni

1. *Wezwanyś?*
   O serce dźwięcz
   w przemocnym nut odzewie!

2. *Kto wzywa, mocen jest, by wichrem dąć o struny*
   i pudło skrzypiec — gliniane czaszki ściany
   napełnić szumem.

3. *Tak kłosów łan pod czułą dłonią ciszy*
   kroplami rosy dyszy
   i śpiewa psalm,
   i psalmu ziemi słucha.

4. *Kto wzywa, w bytu toń płomieniem ognia dmucha,*
   budując koła nowych fal!

5. *I oto pora,*
   co pieśniom chwały użycza i słońca.
   Południe dzwoni! Daleko do wieczora!
   O falo, falo nadchodząca!

Materializm, idealizm a filozofia absolutna

1. — Faktem dla mnie najpierwotniejszym jest to, że istnieję. Co do tego błąd jest niemożliwy, boć i na to, żeby się mylić, musiałbym przecie istnieć. Ale bądźmy jeszcze ostrożniejsi w przyjmowaniu pewników, i zamiast „istnieję" powiedzmy: „coś wogóle istnieje". A zatem: Wiem, że coś istnieje.

Lecz w ten sposób stwierdziliśmy już właściwie dwie rzeczy: że coś istnieje i że wiem o tym. Spróbujmy skasować jeden z członów. Więc np.: Coś istnieje, lecz ja nic o tym nie wiem. Nonsens! bo jakże mogę twierdzić, że coś istnieje, skoro nie wiem o tym? Więc może tak: Wiem, że nic nie istnieje. Znowu nonsens, bo skoro „wiem", to istnieje co najmniej owo moje wiedzenie.

Tak tedy stwierdzamy nieuchronnie dwa przynajmniej składniki rzeczywistości: istnienie i wiedzenie, lub, zgrabniej: byt i wiedzę.

Dokładna analiza wykazuje, że byt a wiedza różnią się od siebie pod każdym względem. Tymczasem umysł nasz szuka jedności: to zasadnicza jego funkcja. Toteż od zarania myśli ludzkiej, próbowano jakoś te dwa składniki sprzymierzyć. A że zawadę stanowiła ich nieusuwalna różność, jęto się uciekać do monizmu, zakładając, że nie są one równorzędne, lecz jeden pochodzi z drugiego: byt z wiedzy, lub wiedza z bytu. Stąd różne systematy filozoficzne. Wszystkich niepodobna rozpatrzyć w tym artykule, choćby najpobieżniej; poprzestańmy więc na dwóch, posiadających dziś najwięcej zwolenników. Mam na myśli materializm i idealizm.

2. *Zasadnicze tezy materializmu:* a) Istnieje tylko materia. — Odrazu nasuwa się pytanie: Cóż to materia? — To, co działa na zmysły. — A zmysły istnieją? — Tak. — Więc są również materią? — Tak. — Więc ostatecznie materią jest to, co... działa na materię?! Definicja mocno kulawa. Ale trudno; pytajmy dalej: czy powyższa teza działa na zmysły i na który mianowicie? A skoro na żaden, to widać ona sama nie istnieje! Wiemy jednak, że istnieje, choć nie działa na zmysły, tylko na wiedzę. — Owszem, powie materialista: lecz ta nasza wiedza jest również pewną odmianą materii. — Przypuśćmy; ale ponieważ ta „pewna odmiana" jest różna absolutnie od owej działającej na zmysły, to pocóż nazywać ją jeszcze materią? Można się uprzeć i południe nazywać pewną odmianą północy, ale to przecież beznadziejne zagmatwanie, a nie wyjaśnienie.

Brnijmy dalej. Promienie infra-czerwone są dowodem, że obiektywnie istnieje nie tylko to, co działa na zmysły. Halucynacja słuchowa czy wzrokowa jest dowodem, że nie wszystko, co działa na zmysły, istnieje obiektywnie. Może więc podstawową tezę materializmu wypadnie zmienić na taką (co, nawiasem mówiąc, nie będzie już czystym materializmem, lecz sensualizmem): „Napewno wiemy tylko to, co stwierdzamy zmysłami; czyli: wszelką prawdę zdobywamy wyłącznie drogą zmysłów". — Dobrze; ale czy i tę tak sformułowaną prawdę zdobyliśmy także drogą zmysłów? Najoczywiściej nie! bo jakież zmysły mogłyby nam dowieść, że poza zmysłami nie ma prawdy, lub chociażby, iż żadnej poza-zmysłowej prawdy poznać nie możemy? Samo sformułowanie takiej tezy jest już dziełem niezmysłowej, stwórczej władzy *transcendencji*. Argument to niezmiernie doniosły, zbijający zasadniczą tezę sensualistyczną. Dla kogo byłby on za trudno uchwytny, ten niech zważy skądinąd, że wszak ustawicznie korygujemy *rozumem* dane zmysłów: *widzę*, że słońce krąży dookoła ziemi, a jednak nie uznaję tego za prawdę...

Od takich sprzeczności materializm aż się roi. Pretenduje do najwyższego obiektywizmu, a wpada w skrajny subiektywizm, jakim jest uzależnianie wszystkiej rzeczywistości od reakcji na nasze zmysły. Uważa się za wybitnie racjonalny, tj. najpełniej czyniący zadość rozumowi, a tymczasem neguje sam rozum, odmawiając mu tych właśnie cech zasadniczych, które go różnią od bytu wogóle, a od materii w szczególe. — Ponieważ łatwiej jest patrzeć przed siebie, niż w siebie; ponieważ dziecko wcześniej zdaje sobie sprawę z przedmiotów widzianych, niż z narządu swego wzroku; ponieważ *podmiot*, aby być poznawanym, musi, przez trudny akt transcendencji, stać się *przedmiotem*, nie dziw przeto, że pogląd materialistyczny, jako najnaiwniej przedmiotowy, narzuca nam się pierwszy. Dziwi natomiast, że nawet przy względnie wysokim rozwoju myśli spekulatywnej może utrzymywać się doktryna, która nic absolutnie nie tłumaczy, a co krok popełnia potworne niekonsekwencje. Wszak materializm, jak każda doktryna, dąży do pewnego systematu prawd; a czymże jest podług niego prawda? czy materią? więc i nieprawda także — boć inaczej nie mogłaby istnieć? a w takim razie czemuż pierwsza ma być lepsza od drugiej? Albo może prawda — to doświadczalnie stwierdzona zgodność z rzeczywistością? Lecz, primo, zgodność *czego?* bytu, materii? ależ *każdy* byt jest zgodny z rzeczywistością! Secundo: co to rzeczywistość? Wszak ma nią być sam tylko byt materialny; zatem prawdą byłaby... zgodność materii z materią, masło maślane. Tertio: jakże ustalę tę zgodność, jeżeli już z góry, tj. przed doświadczeniem, nie posiadam pojęcia prawdy?

Druga podstawowa teza brzmi: b) Byt jest pierwotniejszy od wiedzy; wiedza odeń pochodzi, jest jego wytworem; gdzie nie ma bytu (materii), nie ma wiedzy.

A czemu nie odwrotnie? Przecie gdzie nie ma wiedzy, tam nie ma kto stwierdzić ani braku ani obecności materii. I skąd wiadomo, że się materia nie pojawiła w tejże sekundzie, co i wiedza? I co to była za materia, której niczyje zmysły nie stwierdzały doświadczalnie? I skąd się wzięła? ...

Brak miejsca, nie zaś argumentów, każe nam przerwać tę indagację. — Dla wielu ludzi materializm stał się istną religią, pełną fanatyzmu, prozelityzmu i trudnej do pojęcia nietolerancji. Bo gdy mahometanin czy chrześcijanin ogniem i mieczem wprowadza swą wiarę, jest przynajmniej konsekwentny, gdyż uważa, że nas zbawia w ten sposób. Ale materialista, poświęcający wszystko, nawet życie cudze

a i własne, by wprowadzić tezę, iż jedynym naszym dobrem jest właśnie owoż ziemskie życie, swą rażącą niekonsekwencją zaświadcza istnienie ideałów poza-materialnych. Powiadasz, że wszystko co istnieje jest materią i że materia to jedyna rzeczywistość. Ale wiara w Boga, antimaterializm, antikomunizm— istnieją; więc czemu je masz za mniej rzeczywiste od materializmu? Jedynym dobrem ma być błogostan ziemski; czemuż tedy zwalczasz a nawet tępisz tych, którzy siebie lub drugich uszczęśliwiają wiarą w inne niż ty ideały? Wolę gruszki niż jabłka, ale nie toczyłbym wojen o narzucenie tego upodobania wszystkim. Widocznie zależy ci — może podświadomie — na zapanowaniu pewnej *idei powszechnej;* inaczej poprzestałbyś na własnym, ściśle osobistym błogostanie. A skoro tak, to sam podważasz swe założenia.

Trzeba jednak stwierdzić, że gdyby materializm nie zawierał *żadnej* prawdy, nie mógłby się utrzymać. Jakoż ma on słuszność, ale częściową i wadliwie ujętą. Słuszność jego polega na uznaniu BYTU, jako niezbędnego składnika wszelkiej rzeczywistości — przez co zostaje skorygowana wybujałość idealizmu, który chce ten byt negować. Częściowość słuszności polega na odrzucaniu drugiego niezbędnego składnika, jakim jest WIEDZA. Wadliwe ujęcie polega na pomieszaniu *ogólnego* pojęcia *bytu* ze *szczególnym* pojęciem *materii.*

Praktyczne zaś swoje powodzenie zawdzięcza materializm: po pierwsze, skrajnemu symplicyzmowi, który go czyni równie łatwym, jak filozoficznie bałamutnym; po wtóre, swej przydatności dla nauki — której przedmiotem, w odróżnieniu od filozofii, jest byt, a nie wiedza; toteż tam, gdzie chodzi o opis faktów, nie zaś o ich eksplikację absolutną, niedostrzeganie transcendencji jest do czasu możliwe.

3. — Idealizm filozoficzny za jedyną rzeczywistość uznaje tylko *wiedzę.* — Zasadnicza błędność tego poglądu wynika z nast. dwu zarzutów podstawowych: a) Czyniąc z wiedzy jedyną rzeczywistość, tym samym przypisujemy jej *istnienie* czyli właśnie *byt;* a więc, zamiast wyświetlić te dwa konieczne a wręcz przeciwstawne składniki wszelkiej rzeczywistości, po prostu mieszamy je ze sobą. b) Wiedza jest—co wypływa z samej jej natury — autonomiczna; otóż, zanegowawszy współrzędną rolę bytu, w żaden sposób nie można zdać sprawy z jego heteronomii, t.zn. wyjaśnić, czemu rządzi się on prawami, niezależnymi

---

Do Czytelników

W dotychczasowej fazie wydawniczej „Zet" musiał pełnić potrójne zadanie, będąc jednocześnie: a) pismem dla specjalistów — wrońskistów, badaczy doktryny filozoficznej mesjanizmu, b) pismem, naświetlającym ogólne problemy kulturalne epoki, c) pismem społeczno-politycznym, propagującym pewne konkretne idee przebudowy naszego życia. Było to niedogodne tak dla redakcji, jak i dla czytelników. Toteż od dawna dążeniem naszym było rozdzielić wydawnictwo na trzy odrębne periodyki.

Obecnie część tego planu zostaje zrealizowana. Zamieniamy „Zet" na miesięcznik, objętości większej od dotychczasowego numeru pisma, przy czym cena egzemplarza nie ulegnie zmianie. Jednocześnie rozpoczynamy wydawnictwo rocznika dla badaczy filozofii Wrońskiego, pt. „Wronskiana. — Rocznik filozoficzno-matematyczny". Pierwszy numer tego wydawnictwa ukaże się jeszcze w bież. roku.

Dążeniem naszym będzie stworzyć w przyszłości specjalny tygodnik społeczno-polityczny, dla propagandy bezpośredniej realizacji naszych idej w życiu praktycznym. Urzeczywistnienie tego dążenia zależeć będzie w dużej mierze od pomocy i współpracy naszych czytelników. Jednajcie nam nowych prenumeratorów, nadsyłajcie adresy znajomych dla rozesłania numerów okazowych, rozszerzajcie zasięg ideowy naszego pisma.

Wszystkim, którzy w okresie nieukazywania się „Zetu" przejawili żywe zainteresowanie się losem wydawnictwa, przesyłamy tą drogą serdeczne podziękowanie.

Z powodu złego stanu zdrowia red. Jerzego Brauna zastępstwo jego w funkcjach redakcyjnych obejmuje czasowo red. Antoni Madej.

Prenumerata roczna miesięcznika wynosić będzie zł 5. Prenumeratorom, którzy uiścili abonament „Zetu" za dłuższy czasokres, wyślemy przy następnym numerze obliczenie, do jakiego terminu mają zapewnioną wysyłkę pisma.

od naszej wiedzy. — Toteż konsekwentny, bezkompromisowy idealizm wpada nieuchronnie: teoriopoznawczo — w solipsyzm („istnieję tylko ja"), kosmologicznie zaś — w iluzjonizm („świat jest złudą, fikcją, *mayą*"). Nadto, nieuznawanie heteronomii bytu powoduje naukową bezpłodność idealizmu — co szczególnie jaskrawo się zaznaczyło we wspaniałym skądinąd systemacie Hegla.

Istotną natomiast zdobyczą tego poglądu — niestety znowuż jednostronną — jest mocne uwydatnienie WIEDZY, jako niezbędnego składnika rzeczywistości.

4. — Widzimy tedy, że monizm nie daje rozwiązania. Trzeba uznać, że byt i wiedza stanowią równorzędne składniki świata i że dopiero ich synteza wytwarza rzeczywistość. Rzeczywistość — to *rzecz wiedziana* — coś, co istnieje (byt) i o czym się wie (wiedza), że ono istnieje. Wyliczmy pokrótce przymioty tych dwu składników.

Wiedza jest *podmiotowa*, stanowi zawsze wkład czyjejś *jaźni* do rzeczywistości: liść nie byłby zielony, gdyby go nikt nie widział, itd., itd. — Byt jest *przedmiotowy*, stanowi zawsze *nie-jaźń*, jest tym, co się przeciwstawia wiedzy jako jej przedmiot, jest trwałym ekranem niejako, na który się nakładają różnorakie określenia wiedne.

Wiedza jest *czynna i samorzutna;* t.zn. że, gdy nie jest obciążona bytem, nie wiąże jej żadna konieczność, determinizm, przyczynowość, rządzi się ona wolnością i celowością własną; to ona sprawia, iż rzeczywistość ma *znaczenie* i rozmaitość. — Byt jest *bierny i bezwładny*, sam przez się nie może wprowadzić żadnych zmian i dlatego sprawia, iż rzeczywistość ma *istnienie* i stałość.

Wiedza jest *powszechna;* jej określenia (jak np. zieloność, wielkość, przyczyna, skutek...) mogą się stosować do nieograniczonej liczby przedmiotów indywidualnych. Wszędzie wprowadza ona jedność: gdy mamy kij i kij i kij, wiedza zwiąże je w zespół „trzy kije", w promieniu słońca i topnieniu śniegu upatrzy związek przyczynowy, o kilku gwiazdach orzeknie, że to jeden gwiazdozbiór itd. — Byt jest *indywidualny*, sam przez się niezdolny do żadnych połączeń: doszukując się „czystego bytu", znajdziemy w murze odrębne cegły, w cegle materię, w materii oddzielne atomy, w atomach elektrony... aż do zupełnej bezokreślności.

5. — Materializm, w swej jednostronności uznający wyłącznie byt, konsekwentnie uznaje tylko przyczynowość, odrzuca zaś celowość. Lub raczej, ponieważ stanowisku takiemu jaskrawo przeczą fakty biologii, godzi się on na celowość, ale jedynie w istotach żyjących, a że właśnie w tych istotach obecność wiedzy jest zgoła bezsporna, więc stanowi to przyznanie się, że wiedzę cechuje celowość. To nam wystarcza; bo skoro się wykazało, jakeśmy to uczynili, iż wiedza jest składnikiem *wszelkiej* rzeczywistości, tym samym dowiodło się, że celowość jest w całym kosmosie czynnikiem równoległym do przyczynowości. — Wprawdzie usiłuje się jeszcze tłumaczyć wszystko *przypadkiem;* ale wówczas samemu przypadkowi przypisuje się jakąś zdumiewającą zdolność przewidywania czyli właśnie celowość; po wtóre zaś, wystarczy obliczyć szanse na podstawie matematycznej teorii prawdopodobieństwa i uzyskane wyniki porównać z przypuszczalnym, choćby najhojniej odmierzonym wiekiem ziemi, aby stwierdzić zupełną nicość takiego wyjaśnienia.

6. — Ustaliliśmy zatem dwa wręcz różnorodne a jednako niezbędne szeregi: Byt — konieczność — przyczynowość; oraz wiedzę — wolność — celowość. Toteż umysł ludzki, wiecznie dążący do poznania *racji dostatecznej* i do *jedności*, niestrudzenie szuka: 1) praprzyczyny, 2) celu wszystkich celów, 3) jakiejś praistoty, gdzieby się utożsamiały byt i wiedza, przyczynowość i celowość. — W nin. artykule możemy oczywiście zaznaczyć tylko główne punkty wytyczne.

7. — Łańcuch przyczyn nie może się cofać w nieskończoność, bo w takim razie cały proces nie miałby sensu. Musi istnieć jakaś przyczyna pierwsza. To nas prowadzi do idei *absolutu. Absolutem* jest to, co samo w sobie ma warunki swego istnienia; *względne* jest to, co ma warunki swego istnienia poza sobą, czyli w czym innym. Negować rzeczywistość absolutu znaczy to twierdzić, że wszystko jest względne, czyli że wszystko ma warunki swego istnienia... w czym innym. Stąd widać, że idea absolutu jest konieczna.

Wziąwszy więc jakiekolwiek zjawisko we wszechświecie i cofając się wzdłuż łańcucha jego przyczyn, w końcu dojdziemy zawsze — tą drogą regresji — do absolutu. Teraz wyobraźmy sobie drogę odwrotną: progresję od absolutu do świata, tj. od praprzyczyny do bliższych, dalszych i najdalszych skutków. Jeżeli (a tak jest istotnie — co stwierdziliśmy wyżej) da się w tym wszystkim wykryć jakiś ład rozumny, jakąś celowość, to musi również istnieć jakiś termin pierwszy tej całej celowości, rzeczywistość, która „puściła w ruch" samąż przyczynowość absolutu, a to dla osiągnięcia pewnych zamierzeń ostatecznych, których treści na razie nie dochodźmy. Termin ten, zawierający in nuce wszystką celowość, realizowaną następnie we wszechświecie, nazwał Wroński wyrazem zapożyczonym z religii: *Słowo*. — Jeśli tedy Absolut jest poniekąd hipostazą szeregu: byt—konieczność—przyczynowość, to znów Słowo jest hipostazą szeregu: wiedza — wolność — celowość. Druga jest ściśle tak samo realna jak pierwsza; bo skorośmy uznali przyczynowość, to jakże twierdzić, że celowość nie posiada żadnej przyczyny pierwszej?

Zważywszy atoli bezwzględną jedność działania Absolutu i Słowa (boć każdy fakt poszczególny jest zarazem *skutkiem* Absolutu i *celem* Słowa), szukamy jakiegoś X, Jedni bezwarunkowej, która by w stosunku do nich była tym, czym Rzeczywistość wogóle jest w stosunku do bytu i wiedzy, tzn. zarazem ich syntezą i wspólnym ich źródłem. W terminologii Wrońskiego jest to *Arcyabsolut*, Akt najwyższy, który w swym *działaniu i znaczeniu* jawi się jako Słowo (autogenia, wytwarzanie się własne), w swym zaś *istnieniu i stałości* — jako Absolut (autotezja, ustanowienie się własne). Ta hipostaza Rozumu Absolutnego, idea konieczna i czysto-filozoficzna, odpowiada religijno-intuicyjnemu pojęciu Boga-Stwórcy.

8. — Ateizm ma kilka przyczyn. Za pierwszą i najważniejszą uważam: a) rozumową niedostateczność naiwnego teizmu. — Istotnie; jeśli materializm nie daje nam właściwie żadnych wyjaśnień ostatecznych, to naiwny teizm daje nam ich za dużo i za łatwych: qui nimium probat, nihil probat. Na wszystko jest gotowa i niefatygująca odpowiedź: Pan Bóg tak

stworzył i basta. Prowadzi to do zupełnego paraliżu rozumu i odstręcza umysły czynniejsze. Z tego stanowiska ateizm, jako pogląd *tymczasowy*, jest i zrozumiały i nawet — wskutek swego pobudzającego działania — pożyteczny. Natomiast jako *punkt dojścia* — jest on rażąco błędny.

b) Affirmanti, non neganti, incubit probatio. — Słusznie. Ale skoro filozofia absolutna daje ową probationem, obstawanie przy ateizmie byłoby jałowym uporem.

c) Ateistyczny materializm dąży do terrestryzacji, „uziemienia" człowieka; teistyczny spirytualizm — do jego celestyzacji, „uniebienia". Naszą właściwą jaźnią jest wiedza, rozum; ciało i wogóle byt fizyczny stanowi naszą nie - jaźń. Toteż terrestryzacja, w sensie upośledzania pierwiastka transcendentnego, równa się samobójstwu. Lecz i przesadna celestyzacja, kulminująca w fideizmie, jest także zabójcza. Dlaczego? Bo świat fizyczny — to konkretyzacja i namacalny przejaw zasad stwórczych, dzieło Rozumu Absolutnego; przez poznawanie go i tłumaczenie (przedmiot nauk i filozofii) nasz rozum względny upodabnia się do Arcyabsolutu. Zatem stawiać sobie wyłącznie cel dewocyjny, ze zlekceważeniem czy nawet potępieniem naukowego i spekulatywnego, znaczy to niszczyć najcenniejszy przymiot rozumu: jego samorzutność.

d) Niechęć do rzekomo antropomorficznej idei osobowego Boga. — Na ten zarzut daje odpowiedź niezbitą dopiero filozofia Wrońskiego. Co to osoba? Jaźń, mająca istnienie rzeczywiste. Otóż ponieważ wiedza jest zawsze jaźnią, a najwyższą wiedzą jest Słowo; ponieważ byt jest zawsze istnieniem, a najwyższym bytem jest Absolut; ponieważ rzeczywistością jest synteza bytu i wiedzy, a najwyższą taką syntezą jest Arcyabsolut; więc właśnie Bóg jest w najdoskonalszym znaczeniu Osobą. Gdzież tu, pożal się Boże, antropomorfizm! Raczej teomorfizmem będzie przypisywać sobie *już teraz* osobowość absolutną.

e) Rozum jest niezdolny poznać prawdę bezwarunkową. — Primo: czy tylko nasz rozum względny, czy wogóle żaden? Jeśli żaden, to jakże nazwać prawdą coś, czego nikt nie zna? Jeśli tylko nasz, to eo ipso przypuszczamy jakąś poza-ludzką wiedzę absolutną, czyli właśnie Boga. Secundo: jakżeż tedy nasz rozum zdołał począć samą ideę prawdy bezwarunkowej? Tertio: nie mogę twierdzić, że coś nie jest słodkie, o ile nie wiem, co to słodycz; podobnież nie mógłbym twierdzić, że coś nie jest prawdą bezwarunkową, t.zn. *różni się* od niej, gdybym zgoła nie mógł wiedzieć, czym ona jest. Quarto: gdyby punkt e), będący wszak wytworem naszego rozumu, był *bezwarunkowo prawdziwy*, znaczyło by to, że rozum nasz... właśnie może znać a nawet wytwarzać prawdę bezwarunkową!

9. — Materializm chce czerpać wszystką prawdę z doświadczenia. Ale czy tę rzekomą prawdę, że wszystka prawda płynie tylko z doświadczenia, dało także doświadczenie? Oczywiście nie! A zatem... etc.

Teizm fideistyczny chce czerpać wszystką prawdę z objawienia. Ale czy tę rzekomą prawdę, że wszystka prawda płynie tylko z objawienia, dało również objawienie? Oczywiście nie! A zatem... etc.

Mistycyzm łączy oba błędy i chce czerpać wszystką prawdę z bezpośredniego, biernego doświadczenia rzeczywistości Bóstwa. Błąd niezmiernie groźny, niweczący cały sens istnienia człowieka. Bo doświadczać daje się tylko *to co jest*, a więc *byt*, nigdy zaś *samorzutność twórcza*, czyli *wiedza*. Czyż podobna biernie „wziąć w siebie" np. matematykę, tak jak klisza bierze na siebie obraz przedmiotów? Żadną miarą; koniecznie trzeba czynnie powtórzyć akt tej wiedzy, która wytworzyła matematykę, więc niejako stworzyć ją w sobie na nowo. Należy bardzo dobitnie zdać sobie sprawę z tego, że wiedza nie *jest*, tylko *działa* (tworzy, tworzy się, wytwarza, odtwarza). Toteż biernie — a i to cum grano salis! — można ująć jej bytowe rezultaty, ale nigdy jej istotę wnętrzną — podobnie jak nie można sfotografować ruchu, tylko poszczególne pozycje ruchomego ciała; ktoś, ktoby z góry nie miał pojęcia ruchu, nie nabrałby go z żadnej fotografii. Tak tedy przez *doświadczenie mistyczne* możemy w najlepszym razie doznać, odczuć *istnienie* Zasady Stwórczej, czyli Absolut, a więc niejako pasorzytować na gotowym — lecz przenigdy nie da nam ono wejść w sam prąd stwórczy Rozumu Absolutnego, aby z nim współdziałać w wytwarzaniu rzeczywistości własnej i świata. Z tej dedukcji wynika, że ostatecznie mistycyzm jest pewnego rodzaju empiryzmem, jak i materializm — z jednej strony mniej płaskim, bo jednak uznającym zasadę absolutną, z drugiej jeszcze bodaj szkodliwszym, bo doszczętniej paraliżującym naszą samorzutność.

10. — Tu dochodzimy do centralnej idei wrońskizmu, jaką jest STWÓRCZOŚĆ ROZUMU. — Po tysiącleciach filozofii, Kant pierwszy rozróżnił dokładnie byt a wiedzę. Lecz i on nie zdołał się jeszcze otrząsnąć z domniemanej supremacji bytu; wiedza pozostała dlań zwierciadłem, odbijającym jakąś zewnętrzną rzeczywistość. Czym i jak sprawdzić, czy odbicie jest wierne? Niepodobieństwo. Stąd ostateczny pesymizm noetyczny Kanta. — Wroński pierwszy odkrywa, że poza wiedzą nie ma wogóle rzeczywistości, podobnie jak cukier nie jest słodki poza reakcją na zmysł smaku. Czy to idealizm? Bynajmniej, gdyż i bez bytu, niezależnego od naszej wiedzy, również nie ma rzeczywistości. Rzeczywistość wogóle — to synteza samorzutnej i stwórczej wiedzy z bezwładnym i biernym bytem. Byt sam w sobie nie ma żadnych zgoła określeń, jest nijaki; wiedza sama przez się nie ma istnienia ani przedmiotu, jest próżna.

To nam odsłania niezmierną rolę Człowieka we wszechświecie. Świat fizyczny i duchowy przestaje być czymś gotowym, zastanym, względem naszej wiedzy na zawsze zewnętrznym. Dzięki gorczycznemu ziarnu samorzutności swego rozumu, słabo jeszcze rozwiniętej, człowiek jest już, a w nieskończenie wyższym stopniu stawać się może, współtwórcą wszystkiej rzeczywistości, *a więc i własnej*.

Bo czyż jestem już rzeczywistością w całej pełni? Nie; to stanowisko idealizmu, uznające tylko autonomię, a przeoczające heteronomię i przeto wiodące bądź do ateizmu bądź do antropoteizmu, jest bezwzględnie fałszywe. Nie jestem twórcą ani bytu wogóle, ani mego własnego. Istotnym mną jest tylko moja wiedza; mój byt fizyczny nie jest moim dziełem. Nie ja również sprawiłem syntezę pomiędzy tą moją wiedzą a tym nie-moim bytem. Dlatego rzeczywistość moja jest niepełna, ułomna i śmiertelna. Atoli wiedza ma to do siebie, że — ona jedna — może stać się swym własnym przedmiotem, swym włas-

nym wytworem, i przez to nadać sobie istnienie własne czyli byt autonomiczny — jak się to już teraz dzieje z naszą myślą, gdy samą siebie bierze za przedmiot swego myślenia. Wiedza, zwrócona na byt zewnętrzny — to empiria, doświadczenie *); taka zaś wiedza zwrócona na samą siebie — to samostwórczy akt *transcendencji.*

I oto nareszcie w całym majestacie ukazuje nam się cel absolutny człowieka: STWORZENIE SIĘ WŁASNE, samorzutne uzyskanie nieśmiertelności przez nadanie sobie bytu autonomicznego, wysnutego z własnej wiedzy.

Jeśli tedy przyczyną przyczyn, punktem wyjścia z Arcyabsolutu, jest rzeczywistość absolutna Boga, to celem celów, punktem dojścia do Arcyabsolutu, jest rzeczywistość absolutna Człowieka.

11. — Teraz zrozumiały się staje obustronny — z materialistycznej lewicy i z mistycyzującej prawicy — atak na filozofię absolutną, zapoczątkowaną przez Kanta, a w pełni rozwiniętą przez Wrońskiego. Bo i tu i tam rozum, tknięty bezwładem empiryzmu, rozpaczliwie opiera się najwyższemu wysiłkowi, jakiego wymaga autogenetyczny akt transcendencji. Miejmy nadzieję, że prawy czytelnik na długo się zatopi we własnym sumieniu, zanim rozstrzygnie, czy mu wolno przyłączyć się do którego z tych jednostronnych a jednako niszczycielskich kierunków.

Cz. J. Kozłowski

---

*) To jedno — jakież ubóstwo! — uznaje materializm.

Czy Polska ocali cywilizację?

(Zagadka dziejowa Polski. I.)

Powiedział kiedyś Napoleon, że Polska jest kluczem sytuacji politycznej w Europie. W myśl tego założenia, wielki ten wódz i reformator, przygotowując generalną rozgrywkę europejskiego Zachodu z rosyjskim, eurazjatyckim Wschodem, obrał — z konieczności—Polskę za punkt wyjścia i bazę operacyjną swojej moskiewskiej krucjaty. Ale i przed Napoleonem Polska była w Europie punktem neutralnym i podstawowym równowagi napięć i krzyżowania się procesów dziejowych, które w pochodzie swym natykały się z konieczności na bastion polski, albo załamując się o jego przedmurza, albo też przetaczając się przez jego gościnnie otwarte bramy z Zachodu na Wschód i z powrotem. Nie chcę się tu rozwodzić nad tą kwestią, która stanowi już truizm historiozoficzny; przypomnę tylko parcie eksterminacyjne fali germańskiej na Wschód, które — pochłonąwszy Słowian połabskich i nadodrzańskich — zatrzymało się na Polsce; albo też rozrost gigantyczny imperium moskiewskiego, które — prąc ku „zgniłemu Zachodowi“ — połknęło, jako ostatni swój łup, właśnie Polskę, ale też w konsekwencji nieuchronnej udławiło się tym łupem; przypomnę pochód zdobywczy fanatyzmu islamskiego, który, idąc z południa na północ i zachód, natrafił właśnie tu, w okolicy Okopów św. Trójcy na nieprzebytą tamę; albo znowuż skomplikowany problem dyssydencki, kulminujący w naszych wojnach — ostatecznie zwycięzkich — ze Szwecją, która swego czasu brała na siebie światową misję opieki zbrojnej i ekspansji politycznej protestantyzmu, a atakując z północy, rozbijała się zawsze o mur polski, czy to pod Trzcianą, czy pod Kircholmem, czy pod jasnogórskim klasztorem. Tu pod Legnicą mamy ostatni kres zasięgu olbrzymich raidów kawaleryjskich mongolskiej idei „pax mongolica“ i imperium światowego, stworzonej przez mędrca Fo-hi, a realizowanej świadomie przez Dżyngischana; tu wreszcie, w r. 1920, oręż polski położył kres bolszewickim dążeniom do rewolucji światowej.

Tutaj nad Wisłą, w przesmyku czarnomorsko-bałtyckim, dzielącym kontynent europejski na dwie połacie, przeciwstawne zarówno pod względem geograficznym, jak i w swych cechach heteronomicznych, *odrębnych kręgów kulturowych,* znajduje się tedy niewątpliwie jakiś *punkt archimedesowy* o stałości niewzruszalnej i ciężarze zdolnym przeważyć całokształt płynnych i dynamicznych procesów historiotwórczych, jakie się wokoło nas odbywają. Dostrzegano też w nim istotne centrum równowagi politycznej i klucz sytuacji europejskiej, instynktownie odczuwając potrzebę istnienia niepodległej Polski, gdy ten nieodzowny ośrodek został przez zmowę trzech potęg zaborczych zniweczony. Odbudowa Polski była przecież sztandarowym hasłem elementów radykalno - postępowych w całej demokratycznej Europie; zaś front antydemokratyczny monarchii despotycznych, usiłujących utrwalić w Europie po wojnach napoleońskich ład dobrze ugruntowany, zmuszony był na Kongresie wiedeńskim powołać do życia twór połowicznie przynajmniej rekonstruujący tę polską conditio sine qua non równowagi kontynentalnej: Królestwo Kongresowe.

Jak wyjaśnić te zaburzenia równowagi w systemacie politycznym świata, wywołane przez rozbiory Polski? I czym umotywować cudowny, opatrznościowy finał tego dramatu: powstanie niepodległego państwa polskiego w wyniku wojny światowej? Oto w ten sposób: Stan polityczny społeczności ludzkiej opiera się na dwu zasadach podstawowych: *sprawiedliwości i bezpieczeństwie publicznym.* Idee sprawiedliwości i bezpieczeństwa publicznego są racją bytu i uzasadnieniem prawnym *państwa;* w równej mierze są one tedy kamieniem węgielnym wszelkiej *prawności międzynarodowej.* Otóż zniszczenie Polski gwałciło obydwie te zasady i to w skali globowej. Europa pozbawiona geopolitycznego ośrodka równowagi i geokulturalnego pomostu pomiędzy swym Zachodem a Wschodem, rozpadła się wówczas od razu na dwa przeciwstawne odłamy, które zaczynają toczyć z sobą walkę. Równocześnie z rozbiorami Polski zaczyna się w Europie gwałtowna *antynomia społeczna,* tj. walka niepojednalna między żywiołami demokratyczno-postępowymi a monarchiczno - zachowawczymi, walka przygotowana skądinąd przez długotrwałe procesy historyczne, sprowokowana jednak bezpośrednio przez zwichnięcie zasady sprawiedliwości

i bezpieczeństwa publicznego w stosunkach międzynarodowych, jakim był rozbiór Polski. Wychodzi na jaw brak zasady sprawiedliwości w systemie politycznym Europy i brak zasady bezpieczeństwa publicznego w stosunkach międzynarodowych. Gdy z jednej strony tworzą się groźne fermenty rewolucyjne pod hasłem wyzwolenia ludów spod jarzma koronowanych despotów, z drugiej strony gabinety europejskie ponawiają rozpaczliwe próby zbudowania zapory przeciwko tym ruchom masowym, w rodzaju słynnej koncepcji Świętego Przymierza, w celu przywrócenia porządku i bezpieczeństwa publicznego. Ale obustronne te wysiłki są oczywiście bezskuteczne tak długo, dopóki nie uformują się stopniowo dwa potężne bloki państw: liberalno-demokratyczny i monarchiczno-feudalny, jako reprezentanci owych przeciwstawnych ideałów politycznych. W nieubłaganej konsekwencji wydarzeń przychodzi starcie zbrojne między tymi blokami: *wojna światowa*. Udział Rosji w tej wojnie po stronie bloku demokratycznego jest wielkim nieporozumieniem; ale nieporozumienie to mści się na niej: triumf liberalno-demokratycznej „kiereńszczyzny" nad żywiołami reakcyjnymi carosławia jest logicznym następstwem przyłączenia się Rosji do krucjaty haseł wolnościowych przeciwko „zabytkom feudalnym" w nowożytnej Europie: monarchiom absolutystycznym Austrii, Niemiec i Turcji sułtańskiej. Efekt końcowy: załamanie się wszystkich trzech potęg zaborczych i odbudowa niepodległej Polski. Zasady sprawiedliwości i bezpieczeństwa publicznego zostają zaspokojone, centrum równowagi politycznej przywrócone. Oto przebieg tego nieuchronnego procesu. Widzimy, że *podział Polski sprowadził z matematyczną koniecznością wojnę światową*.

Ale to mechaniczne zadośćuczynienie, jakkolwiek ustabilizowane w nowej zasadzie prawa międzynarodowego: idei *samostanowienia narodów*, nie wystarczyło widocznie do politycznej pacyfikacji Europy i świata cywilizowanego, skoro traktat wersalski jest już w istocie przekreślony, Liga Narodów, wykonawczyni testamentu wilsonowskiego skompromitowana i zagrożona u samych podstaw, a ludzkość znajduje się w przededniu nowej wojny światowej. Piekące problemy polityczne świata zostały rozwiązane tylko formalnie. Pod pokrywką frazeologii dyplomatycznej i pacyfistycznej wre kotłowisko istotnej treści procesów historiotwórczych, powszechny *kryzys moralny*, znajdujący swój refleks w wybuchających raz po raz rewoltach i wojnach domowych, przybierających postać istnych wojen socjalnych i religijnych, czego dowodem wypadki w Hiszpanii. Dopóki ów kryzys moralny nie będzie usunięty i przezwyciężony, nie może być mowy o prawdziwym ugruntowaniu pokoju światowego. Powstaje tedy znowuż pytanie: dlaczego tak się dzieje?

Zanim odpowiemy na to pytanie, przyglądnijmy się najpierw — w skrócie — wypadkom ostatniej doby. Przede wszystkim fakt najważniejszy: w przededniu odbudowania niepodległej Polski wybucha rewolucja rosyjska i cała wschodnia połać Europy zostaje ogarnięta pożarem haseł najstraszliwiej destrukcyjnych, jakie kiedykolwiek zagroziły ładowi moralnemu cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej. Europa jako *idea* i jako *rzeczywistość* historyczna zostaje w ten sposób zaatakowana u samych podstaw i wtrącona w stan chronicznej niepewności, jako wartość brutalnie zakwestionowana przez nowy mit społeczny: ludzkości bez Boga i bez ideałów transcendentnych, ludzkości definitywnie zmaterializowanej. Proszę zauważyć, że w ten sposób równowaga polityczna Europy zostaje od razu zwichnięta i to nie przez brak ośrodka mechanicznego (bo ten przywrócono przez odbudowanie niepodległej Polski), lecz przez brak ośrodka idealnego, centrum *równowagi moralnej*, o tyle ważniejszej, że historię tworzy człowiek, a nie automatyzm form zewnętrznych, więc *kryzys duszy ludzkiej* wywołać musi koniecznie kryzys ustrojowy wszystkich instytucyj społecznych i politycznych.

W Europie średniowiecznej ośrodkiem równowagi moralnej była religia: idee Boga i nieśmiertelności duszy. Po reformacji, w Europie Oświecenia ośrodkiem takim była nauka i filozofia: idee pewności wiedzy i wszechmocy rozumu. W obu tych okresach ludzkość miała jakiś cel powszechny, jakiś *absolut*, na którym mogła się oprzeć. Teraz sytuacja uległa zmianie. Nie dość, że dwa cele poprzednie stanęły w opozycji w stosunku do siebie, nie dość, że antynomia nauki i religii, *rozumu* i *wiary*, podzieliła Europę na dwa obozy zwalczające się namiętnie, ale powstał jeszcze element trzeci: *bolszewizm*, dążący do przekreślenia i zburzenia całej tej rzeczywistości kulturalno-historycznej, objętej nazwą Europy. Jest oczywiste, że leninowski komunizm rozumie pod pojęciem: „świat burżuazyjny" cały ten krąg cywilizacyjny, który wyrasta z kolejnych nawarstwień historii, poczynając od Egiptu i pojęć moralnych Starego Testamentu, a kończąc na ideale klasycznym, chrystianicznym, a nawet humanistycznym epoki współczesnej. Bolszewizm to machina niszczycielska, nastawiona na zlikwidowanie całej historii naszego gatunku, a nawet samego tego gatunku: *człowiek*, i na wyprodukowanie na tym absolutnym cmentarzysku czegoś zupełnie nowego, bliższego w każdym razie Huxley'owskiej wizji retortowego homunculusa, niż pojęciu humanistycznemu człowieka jako wolnej, samorzutnej istoty rozumnej.

Gdy się sobie to uświadomi, łatwo pojąć, że ludzkość współczesna znalazła się po wojnie światowej w stadium płynnego relatywizmu, że brak jej — w przeciwieństwie do epok poprzednich—jakiegokolwiek celu powszechnego, z czego wynika permanentny kryzys moralny, wrzenie rewolucyjne, głuche poczucie przejściowości naszych czasów i walka sprzecznych światopoglądów. Następstwem tego jest rozwój *mesjaniczności* w narodach europejskich i w poszczególnych jednostkach. Ludzie spostrzegają, że sama moralność już nie wystarcza do przywrócenia ładu i zapewnienia pokoju powszechnego, bowiem zasady etyczne przyjęte przez ludzkość cywilizowaną zostały podważone u podstaw i pozbawione swego transcendentnego ośrodka równowagi. Stąd rozwija się w ludziach (i w całych narodach) dążność do wyższego ugruntowania ładu moralnego, do jakiegoś *absolutu*, niewzruszalnego kryterium, celu uniwersalnego, któryby wszyscy bez wyjątku (czy to z lewicy czy z prawicy) mogli uznać za podstawę naszej rzeczywistości. Stąd coraz nowe koncepcje zbawienia ludzkości, coraz nowe idee i mity, które mają ambicję stworzenia owego moralnego punktu archimedesowego, któryby mógłby na sobie udźwignąć nowy, uniwersalny ład, ogarniający cały świat cywilizowany. Otóż tę właśnie dążność do absolutu, jako do nowej zasady stałej, wybawiającej ludzkość ze stanu chaotycznego

ustawicznej względności i niepewności, określam terminem: mesjaniczność (mam w tym za sobą autorytet myślicieli, którzy tak samo pojęcie to definiują).

Europa współczesna mesjanizuje się. Politycznie ujawniło się to naprzód w niezliczonych kongresach i konferencjach dyplomatycznych, poszukujących jakiejś powszechnej zasady bezpieczeństwa dla światowej organizacji pokoju; ideologicznie ma to swój wyraz w powszechnej nacjokracji, tj. w narodzinach nowoczesnych ruchów narodowych, które — widząc niewystarczalność Ligi Narodów dla stworzenia światowego systemu sprawiedliwości i bezpieczeństwa — szukają tej nowej zasady, owego absolutu moralnego *w sobie samych*, w rdzeniu świadomości plemiennej i posłannictwa narodowego (jako przykład cytuję japoński mikadoizm, czyli mesjanizm boskiej rasy Yamato, niemiecki narodowy socjalizm, włoski faszyzm).

Na forum politycznym przebieg wydarzeń, wynikających z tej dążności nadrzędnej, jest następujący:

Po wojnie światowej hegemonia przechodzi w ręce Francji jako przewodniczki zwycięskiego bloku liberalno-demokratycznego; organem tej hegemonii jest Liga Narodów, zrodzona z ducha liberalizmu wilsonowskiego i mająca ustanowić trwały system równowagi, zdolny zapewnić pokój światowy. Ale bezsilność Ligi wychodzi wkrótce na jaw. Frazeologia pacyfistyczna i oparta na niej procedura ligowa jest tylko formą zewnętrzną, pod którą przewala się treść inna: dynamizm olbrzymiego kryzysu moralnego, spowodowanego przez opisane wyżej zachwianie wszystkich wartości i spontaniczne dążenie do przywrócenia równowagi. Przychodzi okres zwątpienia i rozczarowania do instytucji genewskiej. Narody dążą do samowystarczalności, powstają dyktatury i ruchy masowe, skierowane przeciwko demokracji parlamentarnej. Pod groźbą miecza damoklesowego bolszewickiej rewolucji światowej rodzi się faszyzm, przerzucający się z Włoch i na inne kraje. Japonia i Niemcy występują z Ligi. Wreszcie zwycięża w Niemczech hitleryzm i szala hegemonii europejskiej zaczyna się przechylać na stronę Niemiec. Socjalizm w szeregu krajów rozpada się pod naciskiem zdobywczych nacjonalizmów. Europa liberalno-demokratyczna ustępuje pola Europie odradzających się narodów.

I w tym momencie wychodzi na jaw istota obecnego kryzysu moralno-politycznego. Rosja Czerwona, która, pobita w r. 1920 nad Wisłą, zwątpiła w rychły triumf niszczycielskiej machiny rewolucjonizmu światowego i zaczęła „budownictwo socjalistyczne“ w zamkniętych granicach swego imperium, dostrzegła jak tuż obok niej rodzi się potężny wróg: hitleryzm, głoszący otwarcie hasło zniszczenia bolszewizmu u samych korzeni. Zagrożona przez mit nacjonalistyczny, wzięta w dwa ognie przez Niemcy i Japonię, zaniepokojona narodową irredentą na ziemiach Ukrainy i innych narodów podbitych, Rosja Czerwona porzuca dotychczasową izolację i przechodzi do kontrofenzywy. Wraz z sojuszem francusko-sowieckim i wstąpieniem Rosji do Ligi Narodów, zaczyna się w dziejach powojennej Europy nowy okres: *wyraźna antynomia faszyzmu i komunizmu*, przybierająca postać przygotowującej się rozgrywki hitlerowskich Niemiec z bolszewicką Rosją. Antynomia ta rozrasta się powoli do symbolicznych rozmiarów biegunowego przeciwieństwa między Zachodem a Wschodem. I oto — rzecz dziwna — na horyzoncie historycznym Europy na nowo pojawia się *Polska*.

Naprzód Rosja i Niemcy zaczynają rywalizować ze sobą, bo każda z tych sił chce mieć Polskę po swojej stronie. Tu geneza dwustronnych paktów o nieagresji, przez które Polska uniezależnia się od systemu politycznego Europy powojennej i inicjuje nową, własną konstrukcję polityczną, niestety słabo jeszcze skrystalizowaną. Następnie pojawia się, wprost przeciwna idei paktów dwustronnych, koncepcja paktu wschodniego, wysunięta przez Rosję po to, by wciągnąć Europę w orbitę swej własnej problematyki politycznej i zagwarantować istnienie bolszewii siłami zbrojnymi zachodniej, burżuazyjnej Europy. Polska odrzuca tę koncepcję i ogłasza neutralność w konflikcie między dwoma blokami sił politycznych i światopoglądów, ponieważ zaś terytorium Polski przegradza je między sobą, uniemożliwiając

---

Marian Niżyński

Wiersz z cyklu „Rachunek sumienia“ z tomu „Więcierz wieczorny“, który ukaże się w listopadzie nakładem „Myśli Polskiej“.

Kiosk

Jakby kiosk betonowy
cynkową czepiony blachą,
oklejają mi głowę
afiszów pstrokatym łachem.

Jakbym w potopie mulim
nie miał już własnej rozpaczy
o szum wspartemu ulic
przyszło tu stać i znaczyć.

Przyjdą. Nakleją. Czytają.
Byle tekst. Byle znak.
Odchodzą. Głowami kiwają.
Jakby to było tak.

A wiatr w szkielecie i wżery.
A milion eksplozyj w sekundzie.
A obce znaczeń litery
i jarmark barw na rotundzie.

Boże wysokich pięter
i murów niezapisanych,
z których przed nocą zdjęto
jak plakat nawet poranek!

Zstąp! Papierowy pancerz
rozerwij zębatą zawieją
i napisz na mnie palcem:
„Afiszów nie wolno naklejać!“

Niechże się w końcu zacznie
by liter moich skowyt
był prosty jak jednoznaczny
Twój bilet wizytowy.

Jak ciała aksamitnego, kobiecy, soczysty płomień
węszący lęk jaskółczy w najściu miłosnych kropel
wyprężę się i porzucę te łachy przyległe do mnie
i jedną ekstazą o ziemię, drugą o noc się oprę!

zetknięcie bezpośrednie, więc Polska staje się znowu potencjalnym ośrodkiem równowagi całego europejskiego świata moralno-politycznego. Na niej, jako na nieprzebytej barierze, spiętrza się całokształt procesów historiotwórczych, zdążających do wytworzenia nowego systemu idej kierowniczych i nowego systemu mechanicznej równowagi napięć. To wzajemne ciśnienie gromadzi jednak kolosalne ilości energii wybuchowej, które mogą rozsadzić świat w nowej, okropniejszej jeszcze erupcji wojennej, o ile problem światowy, o który toczy się spór pomiędzy nimi, nie zostanie przed tym rozwiązany w jakiś sposób, na płaszczyźnie wyższej syntezy, zaspakajającej wszystkie rozbudzone dążności człowieka współczesnego. Wydaje się logicznym i naturalnym, że *nowy ten plan uniwersalnej przebudowy moralno - politycznej powinna wyłonić z siebie właśnie Polska,* jako neutralne centrum krzyżujących się tak niebezpiecznie dążności mesjanicznych powojennej Europy. Problem powszechny świata cywilizowanego: pokój. czy wojna, triumf czy upadek ludzkości? — stoi więc teraz w pierwszym rzędzie przed Polską. Same wypadki dziejowe pchają ją do tego rozwiązania. Odegranie tej zbawczej roli wydaje się być jej prawdziwym posłannictwem historycznym, tym bardziej, że każda chwila zwłoki wtrąca Europę w coraz większy impas. Jest faktem, że od chwili wejścia Rosji Czerwonej do Ligi Narodów, bolszewicka Eurazja wdziera się z przerażającą szybkością w głąb Europy. Moskwa stanęła na czele „Frontu Ludowego“ we Francji, Moskwa usadowiła się zarówno w Radzie jak i za kulisami genewskiego zgromadzenia narodów, Moskwa uczyniła z Czechosłowacji posłuszne narzędzie swej polityki i przedpole militarne swoich ofenzywnych planów, Moskwa rozpaliła pożogę wojny domowej w Hiszpanii. Bolszewia dąży zarówno do zniszczenia faszyzmu siłami europejskiej demokracji burżuazyjnej, jak i do pokojowej okupacji Europy, gdy nie powiodła się próba rozsadzenia jej przez rewolucję światową. Znajdujemy się tedy w obliczu straszliwego dylematu: albo starcie wojenne faszyzmu z komunizmem, grożące ruiną materialną ludzkości, albo też jeszcze groźniejsze opanowanie faktyczne Europy przez wspólny front poputczyków bolszewizmu, oznaczające likwidację wszystkich tych wartości, które się składają na pojęcie zachodniej, chrześcijańsko - klasycznej cywilizacji.

Zobowiązanie, jakie w tym stanie rzeczy ciąży na Polsce, jest olbrzymie. Idzie tu o misję ocalenia cywilizacji i — być może — popchnięcia jej na tor nowego, świetniejszego jeszcze rozwoju. Zobowiązanie to tym straszniejsze, że na wskroś imperatywne, określone przez całokształt warunków geopolitycznych i geokulturalnych, w jakich znajduje się Polska na skutek jakiegoś nadludzkiego, opatrznościowego zrządzenia. Widać z tego, że wchodzimy teraz w *rozstrzygającą fazę naszych dziejów,* które krzyżują się w sposób tajemniczo symetryczny z dziejami całej ludzkości cywilizowanej. Powstaje więc pytanie prawdziwie hamletowe: *Czy Polska rozumie zagadkę swoich przeznaczeń posłanniczych i czy jest wewnętrznie przygotowana do odegrania narzuconej jej przez los roli dziejotwórczej?*

Stoimy oto dziś na arenie światowej w obliczu wielkich, a nieuchronnych decyzyj, od których zależeć ma rozwiązanie tych wszystkich problemów moralnych współczesnej sytuacji politycznej, których żaden z narodów europejskich nie umie dotąd ogarnąć myślą i opanować wolą. Stoimy na jakimś gigantycznym rozstaju dróg dziejowych. Musimy nauczyć się myśleć uniwersalnymi kategoriami historii, gdyż dalsze losy Polski związane są nieodwołalnie z jej całokształtem.

Jak dalece całokształt procesów historycznych warunkuje losy każdego poszczególnego narodu, dowodzi choćby to, że odbudowa wolnej Polski stała się możliwa tylko dzięki szczęśliwej koniunkturze: wojnie światowej, która spowodowała upadek wszystkich trzech państw zaborczych. Ale myślenie kategoriami historii polega nie tylko na tym, by dostrzegać i rozumieć tę współzależność losów narodu i ludzkości, lecz i na tym, by na tle tych deterministycznych koniunktur uwydatniać należycie rolę twórczej aktywności ludzkiej, która koniunktury te przeczuwa i wyzyskuje. Sam szczęśliwy zbieg okoliczności, przygotowany przez rozwój logiczny wypadków dziejowych, nie byłby na pewno wystarczył do powstania Polski niepodległej, gdyby w tej chwili osobliwej, w tej „godzinie cudu“ nie wystąpił czyn samorzutny, kierowany świadomą wolą. Wzajemne to uzupełnienie się zewnętrznej koniunktury historycznej i własnej aktywności narodu odsłania nam właśnie jedną z tajemnic powstawania historii, a mianowicie jej dwie kategorie podstawowe: konieczność i wolność, czyli *przeznaczenie* i samorzutny *rozum* ludzki.

Sformułuję to raz jeszcze: „Wojna ludów“, o którą modlił się Mickiewicz, była — jak to okazałem przed chwilą — nieuniknionym następstwem z dawna spiętrzających się wypadków, rzutowaniem naturalnych skutków podziału Polski na płaszczyznę niedalekiej przyszłości. Była więc ona *koniecznością,* wyrokiem przeznaczenia, dającym się obliczyć na podstawie samego rachunku prawdopodobieństwa. Ale do urzeczywistnienia potencjalnej możliwości stworzenia Polski niepodległej, zarówno jak do dalszego jej rozwoju, potrzebny był *wolny czyn,* podyktowany przewidującym rozumem i realizowany niezłomną wolą. Umiejętna koordynacja tych dwu czynników jest warunkiem sine qua non powodzenia historycznego wielkich wodzów, mężów stanu i całych narodów.

Biorąc asumpt z tego poszczególnego przykładu do uogólnienia powyższej tezy, powiem tak: Istnieje pewien fatalizm dziejowy, który wyznacza narodowi jego funkcję i rolę życiową na arenie świata. Czynnikami tego fatalizmu są przede wszystkim własne cechy plemienne, skłonności i uzdolnienia danego narodu, dalej jego położenie geograficzne i geopolityczne, a wreszcie przynależność jego do większych kompleksów rasowych czy kulturalnych, oraz siły i dążności historyczne narodów, które z nim sąsiadują; są oczywiście i inne czynniki tego fatalizmu, poprzestanę jednak na tych najważniejszych, które wymieniłem. Z tych wszystkich fatalistycznych uwarunkowań rodzi się — we wrzącym tyglu historii — siła motoryczna samych wydarzeń, będąca wypadkową olbrzymiego mnóstwa zbiorowych dążeń, potrzeb, przekonań i czynności wszystkich narodów. Siła ta jest jakby potężną falą, która albo wynosi dany naród na swoim grzbiecie, albo go obala i niszczy. Zależy to w głównej mierze od tego, czy naród umie uświadomić sobie konsekwencje ostateczne swoich przeznaczeń, oraz wyłonić z siebie świadomą, rozum-

ną wolę, naginającą wspomniane warunki subiektywne i obiektywne i manewrującą sprawnie okrętem narodowego losu. Rolę takiej świadomej woli, ujarzmiającej ślepe przeznaczenie, spełnia niekiedy genialna jednostka; ale to jest tylko paliatyw, to nie wystarcza, bo naród musi sam doróść do tej roli, musi stać się *zbiorowym podmiotem historii*.

Warunków owego fatalizmu determinującego losy narodu nie da się obejść i zniweczyć żadnym sposobem. Nie można przecież — zwłaszcza w dzisiejszych czasach — przesiedlić całego narodu, albo zmienić zupełnie jego cechy plemienne, lub też wyłączyć go spod wpływów epoki, w której żyje. Toteż cały mechanizm wewnętrzny historii sprowadza się do tego: czy naród wypełni swe przeznaczenie *na oślep*, czy też *świadomie*, jako dobrowolnie podjęty obowiązek zbiorowy. Otóż takie dobrowolne, świadome dopełnienie przeznaczenia nazywam posłannictwem.

Dwa są warunki zamiany przeznaczenia na posłannictwo: 1) naród musi poznać i zrozumieć do głębi istotę swych przeznaczeń dziejowych, 2) naród musi wytworzyć siłę rozumną, grupę czy warstwę społeczną, któraby umiała nakreślić plan działania i pokierować w sposób wolny tymi czynnościami do jakich naród jest koniecznie przez historię zdeterminowany.

Stoją tedy przed nami dwa kardynalne pytania:

1) jakie są elementy przeznaczenia dziejowego Polski?

2) jak wytworzyć tę siłę rozumną i nadrzędną, bez której przyszłość narodu jest równie niepewna, jak przyszłość okrętu bez sternika, pędzonego na groźne rafy przez ślepą falę wydarzeń.

Jerzy Braun

Prawda leży w człowieku

Do Redaktora Zetu

Sprawa naturalizmu staje się ostatnio przedmiotem żywego zainteresowania, dowodem czego szereg artykułów drukowanych w „Pionie“, „Wiadomościach Literackich“ i „Prosto z mostu“. Ponieważ w jednym z nich zostałem zaszczytnie wezwany do wzięcia udziału w tej tak interesującej dyskusji, oddając do dyspozycji Pana Redaktora artykuł niniejszy, pragnąłbym prosić o łaskawe zamieszczenie przy nim następującego wyjaśnienia. Artykuł mój nie stanowi ogniwa polemicznego w dyskusji *). Są to raczej uwagi poczynione na marginesie problemu naturalizmu. Znaczny ciężar gatunkowy zagadnienia oraz jego rozległość historyczna stwarzają konieczność rozpatrzenia go w daleko szerszych ramach, niż czynią to autorzy wspomnianych artykułów. O ile można się zorientować z wypowiedzi Szan. Autorów, naturalizm stanowi tutaj bazę operacyjną dla wysublimowania pojęcia czystej sztuki. I tak krystalizacja tego pojęcia musiałaby nastąpić przez: a) przyjęcie naturalizmu jako niewzruszonej zasady estetycznej, b) jego częściowe zmodyfikowanie tj. odrzucenie momentów heteronomicznych, c) całkowite odrzucenie jako kierunku nie odpowiadającego kryteriom sztuki. Obojętne, który z tych punktów przyjęło by się jako obowiązujący, pozostaje zawsze stosunek: naturalizm — sztuka czysta. Otóż tutaj, jak myszy na słoninę rzucają się złośliwe pytania: który naturalizm? Czy ten Platona, czy Boileau? Czy Pascala, czy św. Augustyna? Czy Zoli, czy Ingres'a? Czy ten malarski, czy ten literacki itd. Każdy z tych naturalizmów posiada swoją głęboką konstrukcję filozoficzną, religijną i estetyczną. Każdy z nich był zasadą estetyczną.

Połączyć je zaś w jakąś jedną wspólną wiązkę niepodobna. Domyślam się, że taką wspólną nicią, którą z największymi skrupułami można by je zeszyć, to problem zależności od natury. Tylko że ta zależność nie jest naturalizmem. Cechuje ona sztukę wogóle. I tę naturalistyczną i tę abstrakcyjną. Najpierw więc ta luka, bez której wogóle dyskutować niepodobna.

Ale może tu chodzi o maksymalne świadome wyzwolenie się od natury? Jeśli tak, to dlaczego ausgerechnet naturalizm? Czy naśladownictwo przesądza sprawę sztuki? A „Gioconda“? A „Sąd Ostateczny“? Kto się tu wyzwalał od natury? Mam wrażenie, że humor jaki wprowadziłoby to nagromadzenie kłopotliwych pytań, ma swoje źródło w wadliwości postawienia problemu wogóle. Stosunek: naturalizm-sztuka nie może istnieć.

Ponieważ zaś złożyło się w ten sposób, że artykuł mój usiłuje w pewnym sensie tę merytoryczną stronę dyskusyj o naturaliźmie rozwiązać, sądzę, że zabierając w tej sprawie głos, nie będę uciążliwym intruzem, chociaż, jak powtarzam, zasadniczo w dyskusji głosu nie zabieram.

*) Artykuł niniejszy został napisany wcześniej, zanim problem naturalizmu był w prasie omawiany.

*

Pojęcie naturalizmu sięga w historii estetyki niemal samych źródeł teorii piękna. Zanim dojdzie on do matematycznego sylogizmu Boileau: „rien n'est beau que le vrai“, przejdzie wszelkie możliwe wariacje, niejednokrotnie wciągnięte w orbitę filozoficznych spekulacyj. Platon określa powołanie sztuki jako odtwarzanie konkretnej dla niego rzeczywistości idei tj. jedni entelechii z materią. Arystoteles motywuje konieczność naśladowania rzeczywistości po przez przesłanki metafizyczne. Teofrast, Epikurejczycy i estetycy XVII i XVIII wieku określili naturalizm jako nienaruszalną zasadę wogóle. W ujęciu wreszcie św. Tomasza z Akwinu i św. Augustyna, a nawet sceptycznego Pascala urasta naturalizm do moralnego postulatu, widzącego w naśladowaniu rzeczywistości ukształtowanej rękami Stwórcy akt obcowania z Królestwem Niebieskim.

Zarówno teistyczny naturalizm jak i ów logiczny, nie mieszczą się w ramach tak specjalnego i tak niezawisłego bytu, jakim jest sztuka. Tak jak z jednej strony sztuka nie zaspakaja tęsknoty religijnej, tak i nie rozwiąże problemu poznania, choćby jak chce tego Boileau była ona pogonią za prawdą. Naturalizm jest zasadą estetyczną i jako taki nie może być rozważany pod kątem ani filozofii ani religii.

To, co przywykliśmy określać mianem naturalizmu, występowało w toku licznych wypaczeń i modyfikacyj pod postacią dwuch zasadniczych koncepcyj. Jako system „rekreacyjny“, podszarpujący we właściwych momentach autorytet skostniałych form i jako „niewzruszona“ a więc dramatycznie zwalczana zasada estetyki wogóle.

Co do systemu, jest on zjawiskiem w historii sztuki tak często występującym, że przypisywanie mu jakiegoś specjalnego znaczenia, nie jest właściwe. Akt samoobrony sztuki po przez nawrót do natury, umiejscawia się demokratycznie w różańcu podobnym krócej lub dłużej trwających efemeryd w rodzaju neoklasycyzmu (Dawid, Ingres) czy, si comparare licet, pączkującego u nas a przecież na zagładę skazanego autentyzmu i in.

Szczególnie jaskrawo i intensywnie (oddziaływując i na twórczość polską w okresie Młodej Polski) zarysował się ten rekreacyjny naturalizm we Francji, odkąd cyklem Rougon-Maquart narzucił Zola dobywającym resztek twórczej energii parnasistom zdecydowany i brutalny program. O tym nieodosobnionym zresztą nawrocie do życia wypada wspomnieć o tyle, że ilekroć mowa o naturalizmie, łączy go się przede wszystkim z E. Zolą. Maupassant i Daudet, Huysmans i Fabre, Margueritte, Prevost i tyle znakomitości wybudowało temu dziecku, urodzonemu z nienawiści do przeżuwaczy Baudelaire‘a, Verlaine‘a i Villiers de l‘Isle Adama, słomiany pomnik, który około 1885 r. przygniótł mentalność francuskich mieszczuchów zupełnie. Atoli kiedy nie zasypiający gruszek w popiele hydropaci Emila Goudeau w hałaśliwej atmosferze manifestów i kabaretów grzebali powagę tradycyjnej sztuki — i wpływy angielskiego Ruskinizmu i Swineburne‘izmu z obudzonym kilkanaście lat wcześniej w Niemczech spirytualizmem, poczęły się zwolna przesączać i podmywać pozytywistyczną bazę sztuki — Francja odżywa, przekazując formalnie w r. 1890 w ankiecie Hurcta „rząd dusz“ symbolizmowi. I chociaż raz jeszcze około r. 1895 pismo „Documents sur le Naturisme“ będzie usiłowało zrewidować Zolę i przystosować sztukę do życia, naturalizm Zolowski przestaje właściwie istnieć.

Gdyby zważyć na szali historii ciężar gatunkowy tego kilkunastoletniego naturalizmu, nie wielką krzywdę wyrządziłoby prawdzie zestawienie jego roli z barokiem księdza Baki. Jeden i drugi, w zasadzie tak diametralnie różne, były wytworami spekulacyj i sztuczności. Tylko, że naturalizm Zolowski mimowoli niejako wyprostował i nadał humanistyczną formę temu storczykowi, wypalonemu w piekle Rimbaudowskiej halucynacji.

Sprawiedliwość każe wspomnieć, że lata te krystalizują pojęcie powieści nowoczesnej. Idąc jednak za słusznym poglądem S. I. Witkiewicza, powieść jako nie spełniającą warunków czystej sztuki należy z rozważań niniejszych usunąć. To więc, co określamy mianem naturalizmu w odniesieniu do wydarzeń historycznych, jest etykietą przyklejaną chwytowi obalenia nieznośnych w pewnych epokach uformowań kulturalnego życia. W niczym to jednak nie oświetla zagadki powołania sztuki i nie określa formy w jakiej winna ona występować.

Zasada naturalizmu jest pojęciem ciągłym, nurtującym w sztuce na całym odcinku jej historycznego rozwoju. Wyodrębnić by tu należało jej dwa główne aspekty: naturalizm, jako ocena aktów twórczych po ich sformalizowaniu się, a więc grupowanie artystów i ich dzieł według właściwych im cech i naturalizm jako tendencja decydująca o takim, a nie innym wyrazie sztuki. Ocena faktów dokonanych należy raczej do historii niż teorii estetyki i w swej passywności w stosunku do możliwości wykrystalizowania bezwzględnych wartości w sztuce zbliża się do wyżej wspomnianego systemu „rekreacyjnego“. Ważna tu jest przede wszystkim tendencja. Co artysta uważa za ideał sztuki i dlaczego swoim przeżyciom nadaje taką, a nie inną formę? Dlaczego następnie mamy prawo osądzać jego twórczość jako sztukę i dlaczego potępić?

Wspomniano wyżej o dwuch stosunkach do rzeczywistości: religijnym i logicznym. I jeden i drugi wciągając i podporządkowując własnym programom indywidualność artysty, zaprzeczają najgłówniejszemu postulatowi twórczości tj. wolności twórczej. Aby wysublimować z tych dwuch pojęć bezwzględną wartość sztuki, racjonalniejsza wydawałaby się utopijna hypoteza, że każdy artysta stworzy własną religię i własny system filozoficzny, niż, że w drodze do bezwzględnej prawdy o sztuce bez reszty przejmie gotowy system religijny i filozoficzny za swój własny.

Credo naturalizmu ogólnego zamyka się w banalnej definicji o naśladownictwie. A więc ideałem piękna byłoby kopiowanie rzeczywistości już nie w imię czegoś a dla samej zasady. Mamy tu do czynienia z stosunkiem estetycznym czystym, z wiarą artystyczną w nieomylność natury. I tu dopiero powstaje pojęcie naturalizmu jako *zasady estetycznej*. Do czasu więc, kiedy pojęciu naturalizmu nie wyznaczy się takiego właśnie purytańskiego wręcz znaczenia, każda debata nad nim skazana jest na błądzenie w labiryncie nieuchwytnych kryteriów. W jakim zaś stosunku do czystej sztuki pozostaje ten naturalizm, wypadało by jeszcze rozważyć.

Aby zdać sobie sprawę ze słuszności koncepcji wyrugowania naturalizmu, należało by przeciwstawić mu diametralnie odmienny kierunek estetyczny tj. abstrakcjonizm. W założeniu tego ostatniego leżałoby oderwanie się od form zastanych i stworzenie nowej rzeczywistości w ramach techniki intelektualnej i sensytywnej. Człowiek w dumnym poczuciu swej psychicznej samowystarczalności, upadabnia się tutaj do Boga, odrzuca wszelką „daność“ i stwarza. Kierunek ten jest zdobyczą człowieka nowoczesnego, wzbogaconego o wyrafinowanie intelektualne i wzmożoną wrażliwość estetyczną. Ten typ człowieka dał wyraz burzliwym fermentacjom myślowym w szeregu abstrakcyjnych tendencyj znanych pod nazwami różnych „izmów“.

Zestawmy te dwa kierunki ze sobą. Z jednej strony naśladownictwo, z drugiej samowystarczalność. Czyż w słowie naśladownictwo nie mieści się zakonspirowana buta zrekonstruowania natury ludzkimi środkami? Naśladować wszakże, to raz jeszcze powtórzyć akt twórczy, wyrwać naturze tajniki oddziaływań i rzucić sobie do nóg to wszystko, co przed ogromem piękna natury trwa w zachwycie. Gdyby zamknąwszy w formę, kolor, dźwięk, pojęcie, jakiś wyimek bodaj rzeczywistości, mógł artysta tchnąć jeszcze życie w swoje dzieło, to życie, które stara się tak sugestywnie podrobić, tak nas dla niego oszukiwać,

przestałby być artystą, byłby Stwórcą. I jakkolwiek trzy wymiary i ubóstwo pojęć od stworzenia radykalnie go odcinają, a nasza wyobraźnia dopowiada pobłażliwie tę resztę, której nigdy nie osiągnie, nie przestanie o zrekonstruowaniu natury myśleć. Tak więc chęć naśladowania to wulgarny profil danego człowiekowi pierwiastka boskiego, żądzy stwarzania.

A teraz czymże się w gruncie rzeczy różni ta utopia stwarzania rzeczywistości od drugiej utopii stworzenia innej rzeczywistości w ramach samowystarczalności ludzkiej? Przekreśliwszy konkretny byt pomyka inny artysta w atmosferę spekulacyj i abstrakcyj i tam, nieuchwytny przez umowne pojęcia, rozpina swą nową rzeczywistość, niepodzielny jej władca i stwórca. Ileż wysiłków kosztuje nas wspięcie się na jego platformę, oswojenie z nowym obrazem prawdy artystycznej, o ile wysiłki te nie są niekiedy bezowocne dla współczesnego mu pokolenia? Ale tak jak boskość naturalisty załamuje się na bezsilności środków artystycznych, tak ich obecność przekreśla boskość abstrakcjonisty. Cokolwiekby bowiem abstrakcjonista przedsięwziął, jakikolwiekby nakreślił świat oderwany, na śmierć i życie pokłócony z logiką natury, świat jego będzie tylko zlepkiem elementów życia, tego ordynarnego, konkretnego bytowania, uszeregowanym przez ład niedostrzegalnie od dawna istniejący. I nie może być już inaczej, bo abstrakcyjny ten świat stworzył człowiek, element natury.

Otóż, pomiędzy tragedią niemożności skonstruowania natury po przez jej własne elementy a między tragedią niemożności wyzwolenia się zupełnego od niej — oscyluje sens sztuki. Naturalizm i abstrakcjonizm na terenie estetyki nie są niczym innym jak wyczerpującymi wszelkie znane w historii sztuki podejścia i kierunki elementami odwiecznej antynomii, wyrażającej się w filozofii pojęciami bytu i wiedzy, w religii rozumu i wiary itd.

Toteż przypisywanie naturalizmowi szczególnego, obojętnie: pozytywnego czy negatywnego znaczenia, dowodziłoby braku poczucia koniecznej nadrzędności, w niczym — że użyję tego prostackiego zestawienia — nie różniącego się od śmieszności apoteozowania czy negowania jednej z płci rozpatrywanych pod kątem zachowania gatunku.

Gdzież wobec tego leżeć będzie kryterium czystości sztuki? Począwszy od odkrytego w grotach pirenejskich prymitywnego konterfektu byka, poprzez klasycyzm, odrodzenie, i zdawało by się tak mało mające z naturalizmem wspólnego deformacje rzeczywistości u malarzy francuskich, natura święci swój wielki triumf. Nie wymyka się jej ani egipski zmysł ornamentacyjny, ani tak uduchowiony gotyk, ani wreszcie tak wywarzony w tyglu spekulacyj zmysłowych impresjonizm czy ekspresjonizm. Oto ogromna przewaga rzeczywistości nad twórczą swobodą artystyczną i obowiązywaniem systemów: religijnego i logicznego (o czym wspomniano) i z drugiej strony nad doskonałością form natury, która miała wobec płynności i elastyczności kanonów spekulacyjnych tę wyższość, że była niezmienną. Jak wielki atut posiada natura w swej niezmienności, świadczą te liczne fakty, że ilekroć sztuka zabrnąwszy w labirynt doktrynerstwa i spekulacyj popadała w agonię, rzucano się w jej ramiona na oślep i tutaj czerpano nowe źródła twórcze.

Abstrakcjonizm zrodził się z uświadomienia sobie zupełnej swobody twórczej, która nawet w ramach najśmielszych deformacyj natury dopóty będzie skrępowana, dopóki człowiek natury nie odrzuci zupełnie. Historycznie biorąc, jest on pojęciem zbyt nowoczesnym i zbyt mało posiadającym przykładów typowych jak na to, aby określić już dzisiaj jego znaczenie dziejowe.

Fakt małej popularności włoskiego futuryzmu, francuskiego kubizmu i polskiego formizmu, bynajmniej nie świadczy o ich bezpodstawności. Zarówno rewolucyjność pojawienia się tych kryteriów, jak i zakorzeniona w umysłach tylowiekowa tradycja naturalizmu, były powodem tej rezerwy, jaka przygasiła w końcu i zmajoryzowała ten drugi biegun ludzkiej ekspansji twórczej. Pierwszy raz doszło między naturalizmem a abstrakcjonizmem do rozgrywki na terenie francuskim. Tutaj też biorą początek wszelkie akty apoteozy i potępienia to jednego to drugiego kierunku.

Należało by zadać zarówno jednej, jak i drugiej stronie pytania. Czym należy sobie tłomaczyć szczery zachwyt wyrafinowanego Paul Klee'a, fanatycznego W. Kandinsky'ego i wszystkich pod rząd abstrakcjonistów z Bellingiem i Archipenką włącznie, na widok wspomnianego byka pirenejskiego, Myrona czy Rembrandta? Który z najzagorzalszych przeciwników naturalizmu ma odwagę powiedzieć, że nie wydał on arcydzieł? I na odwrót. Co może naturalista z ręką na sercu powiedzieć o przyszłości „bohoma-

---

Antoni Madej

Uderza wiatr i łuna

W źrenice ciemnych oczu
uderza wiatr i łuna.
Nie można stać, ni spocząć
pod grozą i w piorunach.

O sny, o ruin cienie
na wieży prób i trwóg!
O życia przeznaczenie
na szlakach Bożych dróg!

Wielkości, twój to znak
na maszcie tęsknot drży!
I serce — ptak!
I perły — łzy!

Próby

O pracy powiem, że zguby szukaniem...
(C. K. Norwid).

— Panie, w krainę światłości
pchnij liche ciało z odmętów padołu,
przekuj je w ogniu wszechmocnej miłości
młotem mozołu!

Niechaj się trudzę, niechaj z moich skroni
znojny pot pracy w grudę ziemi pada!
Niech los jak lwica przede mną się broni,
nim go pokonam — ja — Adam!

zów" Picassa, Molrahna czy Feiningera? Gdyby surrealiści posiadali witalność Michała Anioła a stosunki społeczne i intelektualne ułożyły się nieco korzystniej niż te,w których mieli oni nieszczęście bytować, — niewiadomo jakimi drogami potoczyłby się wyraz naszej rzeczywistości artystycznej. Brak odpowiednich kryteriów nie pozwala nam dziś jeszcze na obiektywną ocenę dzieł abstrakcjonizmu, ale czyż to ma być argumentem za niemożliwością wydania przez niego arcydzieł?

Jeżeli zaś dopuszczamy możliwość istnienia dzieł sztuki na terenie zarówno jednego jak i drugiego kierunku, dla samej bodaj konsekwencji nie należy kierunków tych atakować pod kątem ich słuszności.

Prawda o sztuce, gdybyśmy jej chcieli koniecznie szukać w atmosferze nomenklatur historycznych, nie leży nawet w tendencji artysty spod tego czy innego sztandaru. Leży ona w jego talencie i to wydaje się wyczerpywać wszelką dyskusję. Ujmując zagadnienie wartości sztuki graficznie, wyraża się ona w asymptocie przebiegającej między ramionami dwuch prostopadle skrzyżowanych linij, z których pozioma oznacza byt, pionowa ludzką myśl. I jedno i drugie ramię asymptoty zbliża się do linij prostopadłych i styka się z nimi w „nieskończoności". Ta tragedia liczb uporczywie i beznadziejnie zmniejszanych w celu zbliżenia punktów asymptoty do ramion prostopadłych, podobna jest do tragedii wysiłków twórczych człowieka. Pomiędzy niezaspokojoną żądzą stworzenia a ideałem czuwa ułamek ludzkiej słabości, rosnący tym uporczywiej, im bliższy jest świadomości ideał piękna.

Talent jest to zdolność zbliżenia człowieka do dwuch prostopadłych prawd artystycznych. Prawdy o pięknie bytu i pięknie ludzkiej myśli. Im siła jego sugestii będzie większa, tym prawdy te staną się nam bliższe. Formułując na koniec istotę sztuki powtarzanym tak często powiedzeniem, nie chodzi w niej nigdy o kierunek, charakter, epokę, treść, formę itd., słowem „w jaki sposób" i „co" — tylko „jak" *).

Reasumując, stwierdzam: Usiłowania wysublimowania z jakiegokolwiek kierunku w sztuce jej najczystszych wartości z pominięciem wartości artystycznej samego twórcy jest bezprzedmiotowe. Naturalizm, jak wszystkie inne kierunki, jest tylko formą pogoni człowieka za ideałem piękna. Każde „nie" skierowane przeciw niemu jest tylko odwrotną stroną recepty. A więc znowu recepty. Prawda zaś leży w pośrodku. W człowieku.

Jeżeli więc i słusznie zwalcza się receptę, to zwalczać ją należy wszędzie i zawsze, czy to na terenie naturalizmu czy abstrakcjonizmu. Kto wie zaś, czy recept tych nie znalazło by się więcej na terenie właśnie abstrakcjonizmu, który zagrzebany po uszy w spekulacjach teoretycznych tylko o krok graniczy z młodzieńczym rezonerstwem i kazuistyką.

Wydaje mi się zaś, że sztuka dla tego, kto ją naprawdę kocha i rozumie, to coś więcej, niż prosektoryjny obiekt dialektycznych operacyj. To tajemnica piękna beznadziejnie wyszarpywana aktami twórczymi z Niepoznawalnego, zamkniętego w samym sobie.

A filozofia sztuki? To ci, którzy albo wiedzą, albo jeszcze nie wiedzą, że o sztuce nic nie wiedzą.

Marian Niżyński

---

*) Dodać by jeszcze należało wyjaśnienie. Termin „jak" sugeruje pojęcie zwalczanego w swym czasie przez K. Irzykowskiego talentyzmu. Między kultem dla inteligentnych monterów i ekwilibrystów technicznych a między kultem dla talentów, jako zdolności aranżowania prawdy artystycznej, zieje taka przepaść, jak między zręcznym rzemieślnikiem a projektodawcą. Różnice te zjawiają się w obecności jakiegoś pierwiastka metafizycznego w prawdziwym dziele sztuki i w pustce duchowej doznawanej w podziwie dla pomysłowości czy doskonałości technicznej.

Właściwie o co chodzi?

Czas najwyższy postawić ludzkości — w sposób nawet najbrutalniejszy — to pytanie, jeżeli nie chce się samemu do cna zatracić zaufania do logicznego myślenia ludzkości (czytaj rozsądku), do historii i do bodaj jakiego takiego sensu w tym całym widowisku. Bowiem z utratą tego zaufania nie pozostanie nam już nic innego do zrobienia, jak tylko przyjąć fakt istnienia wieczystego chaosu, kotłującego się w mrokach historii. To co się obecnie dzieje wydać się może przeciętnie myślącemu śmiertelnikowi koszmarnym nieporozumieniem, lub też z głębin wydobywającym się obłędem.

I rzeczywiście trudno to wszystko po pobieżnym bodaj przeglądzie inaczej nazwać: Niebywałe spiętrzenie się trudności, oporów, haseł, programów, doktryn, „jedynych rozwiązań", przypomina larum, grane w dniu Sądu Ostatecznego. Każdy z tych programów jest jedyny, wyczerpujący, każdy jest „dynamiczny" i „zbawienny", ale wszystkie razem pomiędzy sobą są w sprzeczności zasadniczej. Ta ich „jedyność" i „absolutność" jest właśnie jądrem obecnych nieporozumień i zaciekłości, jest jakby indywidualizmem ideologicznym, przyjmującym za założenie idee jako istności bytujące same dla siebie i podporządkowujące sobie świat. Tymczasem pomiędzy nimi a rzeczywistością istnieje głęboka rozbieżność i niewspółmierność, występująca przy najbłahszym bodaj porównaniu. Rzeczywistość bowiem rozwija się w najczystszej dowolności, od wypadku do wypadku, rządzona jedynie impulsami o ośrodkach inicjujących ukrytych gdzieś we mgle.

Więc o cóż właściwie chodzi? O grę słów, logiczność i powiązanie doktrynalne pojęć, czy też o żywioł bez nazwy i kierunku dążenia? Czyżby świat w obecnej dobie był jednoczesną promocją twórców wielkich doktryn, oderwanych od rzeczywistości, czy też harcami dowolności? Czy istnieje jakiś związek praktyczny, a zarazem teoretyczny, i to koniecznie powszechny, pomiędzy tymi dwoma dziedzinami? Bo jeżeli buduje się rzeczywistość, to cóż to stosuje się za metody, powodujące tak głębokie rozdźwięki i takie zasadnicze sprzeczności? A jeżeli tworzy się teorie, systemy myśli czystej, to przede wszystkim należy opanować, lub uśpić biologiczno - psychiczne ośrodki, rozpętujące energie wichrzące spokój myślenia i kombinowania. Gdzie w obecnej rzeczywistości jest jakiś porządek, systematyczność i kolejność czynności, gdzie jest po prostu — jakiś sens? Kto temu winien,

że tyle rozmaitych problemów na raz wyłożono na stół i zamiast przeprowadzić porządną ich sekcję, skoczono sobie do gardeł? Czyżby rzeczywiście pomiędzy tymi wszystkimi zagadnieniami istniał rozdział niezgłębiony, bez żadnej możliwości wyjścia ze sprzeczności? Czy istnieje w dziejach ludzkich sens i na czym on polega?

Coś z tym trzeba zrobić, jeżeli nie chce się doprowadzić absurdu do ostateczności i produkować en masse lokatorów Tworek. Sądzę, że jeszcze nie zaginęły bezpowrotnie zdrowe przejawy myśli ludzkiej i zdrowe wysiłki, poszukujące wspólnych platform dla tych kalejdoskopowych produktów rzeczywistości. Chcąc wybrnąć z chaosu, musimy się dogadać i dopracować — o co nam wszystkim i każdemu niemal z osobna chodzi, tylko szczerze, bez zakłamań, po ludzku, uczciwie i z sensem, bo od tej szczerości i tego sensu zależy nasze być albo nie być! Skończyły się już żarty, zaczyna się tragedia, z prologiem nabrzmiałym znękaniem i rozterką: „Właściwie o co chodzi?". Budzi się w człowieku poczucie historyczności i potrzeba odpowiedzialności za dalsze losy.

Zbrojenia

Zdaje się, że wszystkie mózgi ludzkie zasugerowano już dostatecznie kwestią zbrojeń, które stały się dziś naczelnym problemem dnia i na nich koncentrują się obecnie wysiłki osobnicze i całych narodów. Twierdzi się przy tym, że są to konieczności ostateczne i dlatego nieodzowne, bo obronne.

Gdzież tedy jest napastnik? Wszystkie bowiem narody odmieniają we wszelkich możliwych przypadkach słowo „pokój", wszystkie śpieszą oddać na ten cel najwyższe swe wysiłki, a nawet ofiary z krwi ludzkiej, wszyscy są jego obrońcami. Nie żałują na jego obronę grosza, o nie! Dotychczas wydano już przecież około 150 miliardów złotych, a możliwość wybuchu wojny jest z dnia na dzień coraz bliższa. Czyżby to była tylko niebezpieczna, bezkrytyczna i do absurdu posunięta psychoza? Gdzież jest bowiem napastnik? Wielkie demokracje, jak Francja, lub Anglia wskazują na państwa faszystowskie Włochy i Niemcy, jako na napastników - te zaś widzą w Rosji sowieckiej i w komunizmie śmiertelnego wroga, czyhającego jeno aby skoczyć im do gardeł. Rosja sowiecka posądza o te chęci państwa burżuazyjne, jak Anglię i Francję, oraz państwa faszystowskie, jak Włochy i Niemcy I tak „w koło Macieju". Każdy to wróg, napastnik, a zarazem ofiara napadu. W pośrodku zaś tych mocarstw leżące mniejsze twory polityczne drżą o własną skórę i ostatni grosz wydają na zbrojenia, byle jeno rzeczywiście móc się jako tako obronić, gdy nadejdzie huragan dziejowy. Coś w tym wszystkim nie jest w porządku! Nikt nie chce wojny, a każdy do niej szykuje się pełną parą. Wszyscy są nastrojeni pokojowo, a już armaty grają na dobre.

O co właściwie ludziom chodzi? O wymordowanie się doszczętne? Nie? Więc o co? Nie można sobie przecież wyobrazić, aby czyniono tak potworne zbrojenia ot tak, dla efektu — trochę dla zastraszenia sąsiadów — trochę dla pokazów wewnętrznych (defilady) — a resztę dla utrzymania tysięcznych rzesz bezrobotnych. Zdaje się, że do takiego bezsensu, pomimo dzikiego spustoszenia w intelektach europejskich, jeszcześmy nie doszli. Tę odrobinę sprawiedliwości możemy sobie spokojnie oddać. A więc po co te wysiłki i przygotowania do mordów. O cóż chodzi? Może o sprawy brzucha i zaspokojenie żądzy posiadania i bogacenia się. Może, inaczej mówiąc, idzie tu o ...

Sprawy gospodarcze

A więc idzie o zdobycze, o kolonie! Przywykliśmy już do tego, że żądze ludzkie w zakresie dóbr gospodarczych są nienasycone, ale przecież to nienasycenie zwykle bywa ograniczane kwestią opłacalności wysiłków zdążających do ich zaspokojenia. Czyżby w obecnym momencie znikły te hamulce?

Twierdzi się dzisiaj z jakąś dogmatyczną pewnością, że narody się duszą w swoich granicach, że są głodne. Przypuśćmy, że tak jest, że narodom chodzi wyłącznie o kolonie, o surowce, o „papu". Ale wpierw zanim dalej się posuniemy, zróbmy zestawienie ewentualnych wydatków, jakie te przypuszczalne zdobycze pochłoną. Mówiliśmy już o 150 miliardach. Przerażająca suma, nieprawdaż? Czy znajdą się zdobycze na świecie, które by posiadały aż taką wartość ekonomiczną? O jakie bowiem zdobycze w tym wypadku chodzi? Oto o tereny uprawne, o surowce w postaci stali, węgla, nafty i tp. A czy ktoś porachował ile milionów ton tych surowców już pochłonęły i pochłoną zbrojenia? Czy bierze się pod uwagę, że do terenów zdobycznych przynależą również ludzie na nich zamieszkujący, właściciele tych terenów i zarazem konsumenci własnych produktów rolnych. Czy zdobędzie się wobec tego na pewno tak dużo, że wydatki zostaną zwrócone z nawiązką, lub chociażby w całości. A do tego rachunku trzeba koniecznie dodać miliony poległych, te potężne moce psychiczne, moralne, intelektualne, które obróciły się w nicość, podczas gdy mogły być zużyte ku chwale Boga i ludzkości na pożytek. Czy o tym wszystkim myśli się? Czy naród o skłonnościach napastniczych zastanowił się gruntownie, co on naprawdę zdobędzie! Zdobędzie on napewno ziemię zrytą granatami i zroszoną iperytem, lub inną straszliwą trucizną, która nawet po dziesiątkach lat będzie tkwić nadal nierozłożona w glebie; zagarnie wody zakażone bakteriami, lub też zatrute gruzy miast, centrów przemysłowych i wsi. Czyż jest to zdobycz naprawdę nęcąca?

A może ktoś przypuszcza, że to przesada? Proszę spojrzeć uważnie i przewidująco na Iruny, Madryty, Szanghaje. Siła niszcząca środków i narzędzi śmierci, produkowanych obecnie i będących w próbach, wzrasta z każdym dniem, tak że obecne Iruny i Szanghaje są wobec przyszłych zniszczeń niewinnymi igraszkami.

Czy wobec tego te zdobycze się opłacą? Przecież w tym zdobytym kraju trzeba będzie od razu inwestować nowe miliardy, aby oczyścić go i odbudować. A skąd weźmie te sumy naród-napastnik, sam znękany i wycieńczony do ostateczności? Ostatnia wojna światowa doświadczenie to zdobyła i w całej jaskrawości przedłożyła je państwom w chwili zawarcia pokoju. Czyżby już poszło ono w zapomnienie?

Teraźniejsze warunki znacznie są gorsze od warunków roku 1914. O tym należy pamiętać! Wówczas przecież nie wydano tak potwornych sum na przygotowania, jak obecnie, a tę naszą „teraźniejszość" pogarsza dodatkowo trwający wciąż jeszcze kryzys.

Ale i to jeszcze nie koniec: Ludzie zapominają, zapatrzeni w sprawy materialne, że po takich kosmicznych napięciach nerwów i woli musi nastąpić w psychikach ludzkich odprężenie w postaci depre-

sji i to zależnej w prostym stosunku od wysiłków. Czyżby jaskrawy przykład Rosji, Austrii, Niemiec przeszedł zupełnie bez echa? Czyżby naprawdę, bez obawy, można było raz jeszcze wystawić ludzkość na próbę wymagającą o wiele więcej wysiłków i hartu? Czy człowiek powojenny naprawdę będzie zdolny do wysiłków odeń wymaganych, pomimo pozorów narzucających się we wszelkich defiladach i paradach? Dalej: Czy można sobie dziś wyobrazić zajęcie jakiegoś kraju bez dalszych następstw i zaburzeń w całym układzie światowym? Włochy do dzisiejszego dnia płacą i na pewno długie jeszcze lata płacić będą rachunki wyprawy abisyńskiej, zanim uporają się z wszystkimi konsekwencjami stąd wynikłymi.

Marszałek Badoglio stwierdził już, że Włochy korzystać zaczną z Abisynii najwcześniej za 50 lat, o ile, rzecz prosta, rachunki tego konta w międzyczasie nie zwiększą się o nieprzewidziane sumy. A że zwiększą się i to znacznie, świadczy o tym coraz bardziej naprężona sytuacja, właśnie wokoło tego zagadnienia.

Jakiż jest z tego ostateczny wniosek, wniosek uczciwy i nie demagogiczny? Oto ten, że dzisiaj napaść zbrojna równa się nieomal samobójstwu, rozłożonemu „na raty". Żadne państwo nie będzie w stanie wytrzymać kosztów przyszłej wojny, koniecznych wkładów powojennych, oraz wstrząsów organizacyjno-społeczno-ustrojowych wynikłych w jego granicach. Skutki tych wstrząsów występować będą na pewno długi jeszcze czas po zakończeniu wojny. Czy ludzkość nie ma nic innego do roboty, jak tylko lizać się z ran sobie samej zadanych? Czyżby narody dzisiejsze dążyły w niezrozumiałej zaciekłości do tak perfidnych samobójstw? Czyżby naprawdę chciały ginąć? A jeżeli nie, to o cóż w tych wszystkich awanturach chodzi?

Może brak jest tutaj głębszych przemyśleń, a może też jest w tym inna, specyficzna logika rozwojowa i inne ukryte cele. Jakie? I czy zostały dostatecznie zanalizowane, bo rzeczywistość świadczy o czymś wręcz odmiennym.

Przeżywamy ponure paradoksy, czy też jesteśmy świadkami łajdactwa globowego ludzi dążących do im tylko znanych celów, wbrew wszelkiej logice i kardynalnym zasadom współżycia ludzkości?

Imperializm zaborczy na kruchych dziś spoczywa podstawach, choćby miał on najlepsze chęci w stosunku do narodów podbitych. Przykładem Anglia. Nie należy zapominać, że przecież przez cały świat, jak długi on i szeroki, przebiegają raz po razu prądy budzące narody z uśpienia, prądy nacjonalistyczne. Przy takim stanie rzeczy wielkie potęgi kolonialne to tylko wielkie i kosztownie wybudowane grobowce, w których legną zdobywcy. Narody muszą myśleć na całe wieki naprzód, zanim coś przedsięwezmą. Narody nie żyją latami, ale wiekami i tyciącleciami.

Reasumując, należy stwierdzić, że nonsensem jest wszczynać dziś wojnę zaborczą, podyktowaną jedynie względami gospodarczymi, chęcią zdobycia nowych rynków i surowców — a już czystym nonsensem jest mniemanie, że podobne wyprawy dają jakiekolwiek zyski w obecnym układzie rzeczy. Niszczenie bowiem nie przysparza dóbr materialnych, a ewentualna suma zdobyczy pomniejszona być musi o wydatki i da to zawsze saldo ujemne. Zaznaczam: w sensie gospodarczym, w psychicznych bowiem pokładach mogą zajść nieobliczalne następstwa. Zdobycze stracą jeszcze na wartości o ile weźmie się pod uwagę, że naród broniący się wymieni na środki bojowe niemal wszystkie swoje dobra i środków tych użyje w walce; nie będą one przecież czekały na wspaniałych zwycięzców.

W ostatecznym więc zestawieniu wyprawy po dobra świata, wyprawy o charakterze gospodarczo-kolonialnym skazane są na przegraną. Logika praw materialnych i fizycznych nie ulega zmianie w czasie ni przestrzeni i ktoś, kto je lekceważy spotka je jako głazy na swej drodze.

Jeżeli więc sprawy gospodarcze na tej drodze nie znajdują rozwiązania, ale wręcz przeciwnie zaostrzają się i pogarszają warunki ich opanowania, co czynnikom decydującym jest dobrze wiadome — to właściwie o co chodzi? W imię czego żąda się ofiar nieludzkich? Do czego się zdąża? Co chce się osiągnąć? Jeżeli brzuch i jego potrzeby, jeżeli żądze i ich przedmioty nie są dostatecznym usprawiedliwieniem i uzasadnieniem tego co się dzieje, to może momenty inspirujące znajdują się na innej płaszczyźnie, w konfliktach ideologicznych?

Doktryny i światopoglądy

Z historii jest nam wiadome, że ludzkość w pewnych epokach i w pewnych skupiskach etnograficznych podejmowała na rozmaitych płaszczyznach i w rozmaitej skali realizację różnych doktryn i światopoglądów. Obecnie zostały wyłonione i poddane próbom realizatorskim dwie zasadnicze doktryny, a mianowicie: komunistyczna, oparta na Marksie i doktryna rasy, oparta na badaniach naukowych i wierze w mistykę krwi. Do tego rzędu należy zaliczyć również koncepcję faszystowską, opartą na syndykaliźmie sorelowskim, oraz nie pisaną wprawdzie, ale nie mniej prężną świadomość nadrzędności absolutnej państwa, niesioną na bagnetach japońskich.

Demokracje w obecnym okresie są właściwie w defenzywie i nie odgrywają większej roli, a już w żadnym wypadku roli światoburczej. Ich „Sturm und Drang Periode" minął w ubiegłym wieku.

Wymienione doktryny i światopoglądy są dziś realizowane, a właściwiej mówiąc, są zniekształcane niemiłosiernie, w zależności od celu, do którego zostają użyte i od komentarzy.

Ciekawa rzecz, że im bardziej jakaś doktryna była początkowo przedyskutowana, im bardziej zwarta i zamknięta w kręgu logiki, tym szybciej, w trakcie konfrontacji z rzeczywistością, została zniekształcona, strawestowana itp. Przykład — Rosja sowiecka. Może jest w tym wina samej doktryny, a może i jej realizatorów, ale nie w tym sęk. Pewne rzeczy z przeróbkami nie wielkimi dałyby się na pewno zrealizować, ale żeby do tego miało dojść, aby dana doktryna wyłaniała w ciągu swej realizacji własną przeciwstawność, to już przechodzi granice zdrowego rozumu. O co innego widać chodziło realizatorom, lub samej doktrynie, kiedy taki dziwoląg z tego wyszedł.

A może rzeczywistość w zetknięciu z doktryną wywołała coś jakby reakcję chemiczną, z której powstała istność inna jak jej składniki. Gdzie jest prawda? I o co chodzi realizatorom takich doktryn, które zapładniają swoje ekstremy i powołują je do życia?

W Rosji sowieckiej na przykład powstaje sui generis nacjonalizm. To nie paradoks, to rzeczywistość.

Komunizm w kurczach porodowych z straszliwej miazgi faktów płodzi specyficzny dla duszy rosyjskiej nacjonalizm. Nie mniej jednak ciągle mówi się i krzyczy o państwie proletariatu, o zdobyczach socjalistycznych itp. Stek strasznych przeciwieństw, jaki się skłębił w tych koszmarnych granicach, wytwarza nową, krwawą postać imperializmu rosyjskiego. Można dzisiaj już stwierdzić z całą odpowiedzialnością za te słowa, że w Rosji sowieckiej mniej jest klasycznego marksizmu, niż w niejednym kraju europejskim.

Do czego więc służy i do czego zmierza to zakłamanie, jakim nas darzą czciciele „zorganizowanego raju ziemskiego".

Rzeczywistość rosyjska jest inna niż ją sobie wymarzyli idealiści, inna niż ją sobie wyobrażał Lenin i jego współtowarzysze, inna niż ją chce mieć Stalin. Innym też jest marksizm w poszczególnych krajach. W jednych podejmuje obronę religii narodu najbardziej zacofanego, najbardziej religijnego, jakim są żydzi. W innych znowu zaciekle religie zwalcza, np. w krajach katolickich. Nie mogę nigdy zrozumieć, jaka jest różnica — w świetle materializmu dziejowego — między tą czy inną religią. Religia *wogóle* jest przecież dla marksizmu „opium dla ludu". Gdzie indziej znów marksizm broni praw jednostki przed totalizmami, nacjonalizmami różnego autoramentu, podczas gdy sam jest twórcą kolektywu, w którym jednostka jest zerem, a właściwie tylko materiałem kolektywu, nie posiadając poza nim żadnej wartości.

Nie mniej sprzeczności i absurdów niesie z sobą również realizacja doktryny rasistowskiej. Jakże można uwierzyć w wyższość rasową wybranego narodu niemieckiego, jeśli ten naród przekształca się ze wszystkich sił swoich w bestię, umiejącą jak najprecyzyjniej mordować, palić i grabić. Chrystus Pan inaczej uczył, jak zdobywać masy i gruntować w nich swoją wielkość. Krzyk o wybrańczych cechach, o wielkości, jeszcze żadnemu narodowi jej nie przysporzył.

Dalej, jakąż to wyższość można wysnuć z krwi tylko i jej czystości? Czyżby krew decydowała o wszystkim i w niej tylko spoczywało istotne człowieczeństwo? Tysiące rodzi się na ten temat zastrzeżeń i uwag. A w końcu czy istnieje owa czystość rasy? Historia uczy nas o czymś innym, a mianowicie o mieszaniu się ludów. Gdzieżby się więc zachowała ta czystość nieskalana obcą domieszką?

Człowiek, jako reprezentant osobniczy tej rasy, sam w sobie musiałby być doskonałością. Czyżby takie doskonałości należało mordować po nocach i bez sądu?

Wyższość przejawia się nie w tyranii, nie w niedotrzymywaniu zobowiązań przez się podpisanych. w podstępie, w gwałtach. W takiej atmosferze nie wychowuje się wielkości. Dóbr duchowych nie propaguje się mieczem, mordem, pożogą.

Ale nie o to chodzi. Rasizm jest pokrywką innych dążeń, ekspansyj i zachcianek.

O co więc chodzi w tym wypadku? Do czego się dąży? Ku wielkości narodu otoczonego szacunkiem, czy też ku wyniszczeniu w nim tych zarodzi szlachetnych i twórczych i otoczeniu go zwałem nienawiści ludzkiej? Wierzy się w swój naród i jego rolę dziejową, zdobytą prawością, czy zapędza się go w matnię? Czego jesteśmy świadkami, ignorancji, czy złej woli?

O co więc właściwie chodzi?

Jeżeli nie o sprawy gospodarcze, ideologiczne, doktrynalne, polityczne, to może o sprawy religijne. Na cóż więc pałki, kastety, karabiny maszynowe, wojny i oszustwa? Uczuć religijnych nikt jeszcze nie wzbudził tymi metodami, najwyżej uczucie nienawiści, chęć niszczenia, religię szatana.

Może chodzi o kwestie socjalne — ale te przecież winny być rozwiązane w łonie danej grupy lub narodu.

Nasuwają się tysiące odpowiedzi na to pytanie, a za nimi tysiące kontrargumentów i sprzeczności.

I tak jest wciąż. Co innego się głosi, a co innego czyni. Słowa zalewają biedne ludzkie mózgownice niczym woda. Nie wielu ma już dość siły, aby odepchnąć je, przyjrzeć się im z bliska i porównać, zanim je przyjmie.

Chrypią wołania o czyn, a w wielu krajach martwica obejmuje i dławi narody. Czyni się tam wszystko, aby ten czyn nie powstał. Woła się o pokój, a zza każdego niemal węgła wyziera broń wycelowana, pękają petardy i bomby, grają armaty. Woła się o miłość chrześcijańską, a jednocześnie napada się z kastetem na bliźniego i kaleczy się go śmiertelnie. Krzyczy się o sprawiedliwość, a tysiączne ręce wyciągają się zachłannie po zdobycz. Wynosi się na piedestał i gloryfikuje państwo, naród, klasę, organizację, to znów wolność anarchiczną człowieka. Płodzi się wielkie plany gospodarcze, a nędza się panoszy. Rzucają się ludzie na prawo i lewo, coś chcą robić, coś powiedzieć, ale wszystko wychodzi im „na opak". Oskarżają się wzajemnie za niepowodzenia, wszyscy chcą przewodniczyć, wszyscy być wodzami i zbawcami. Każdy ma swoje przekonania nieomylne i zna prawdę. A efekt tragiczny — komplikacje, nieufność i zbrojenia.

Dla utrzymania pokoju produkuje się masowo narzędzia śmierci, dla pokoju, jedności i miłości uczy się człowieka precyzyjnie i masowo zabijać. I są jeszcze tacy naiwni, którzy wierzą, że w takich warunkach da się utrzymać pokój.

Obecne młode pokolenie szkolne od dziecka przygotowywane fizycznie i duchowo do wojny nic już więcej nie będzie umiało zrobić, jak tylko napaść na swych sąsiadów i rozpętać w świecie pożogę.

Czyż można sobie wyobrazić pokojowe rozbrojenie tych stosów amunicji i milionów tonn materiałów wybuchowych? Wystarczy przecież już tylko pretekst, aby rozpoczęła się seria eksplozyj.

W końcu więc o co ludzkości chodzi? O samozniszczenie? Nie? Więc może naprawdę o sprawy gospodarcze, polityczne, narodowościowe, klasowe, doktrynalne, religijne, moralne i o coś więcej? Porozumiejmy się! Może dojdziemy do jakiejś wspólnej koncepcji, do zrozumienia własnego i cudzego stanowiska wobec tej kardynalnej prawdy, że gdzieś w zenicie mamy jeden, wspólny cel, oparty nie na niszczeniu, o nie!, ale na budowaniu i przemożeniu zła w nas tkwiącego.

Może w każdej z omówionych tu przyczyn jest część prawdy, a ona sama kryje się w całości. Na Boga, ludzie szukajcie! Zdobądźcie się na wolę poszukującą, zdobywczą i miłującą! Bo tylko w tym jednym, jedynym wypadku uda się nam uniknąć wojennej pożogi.

Stanisław Wachal

Kurator w ZNP

Rok temu ze względów ideowych i zasadniczych listem otwartym A. Madeja „Quo vadis ZNP?“ rozpoczęliśmy kampanię przeciw kierownikom ZNP. Chodziło nam o to, by organizacja nauczycielska, grupująca liczne szeregi nauczycieli polskich, w swojej działalności organizacyjnej i pedagogicznej zaprzestała infiltracji idej obcych na grunt szkolnictwa polskiego, by podjęła reformę pracy Wydziału Pedagogicznego, reformę wychowania związkowca, by położyła kres niewłaściwościom organizacyjnym, tzw. „machowszczyźnie“, oraz by weszła w nowe stadium rozwoju przez zwrócenie się do źródeł polskiej twórczości, polskiej myśli filozoficznej, polskiej tradycji i kultury. A. Madej w siedmiu punktach przedstawił plan reorganizacji ZNP. Przeciwstawił się przede wszystkim wpływom czynników poza organizacyjnych na kierownictwo ZNP, bowiem czynniki te pociągały organizację na tory polityki i partyjnictwa.

Stanowisko „Zetu“ w sprawie ZNP znalazło poparcie w prasie młodego pokolenia, która zgodnie wypowiedziała się za koniecznością reformy we władzach ZNP. Prasa młodego pokolenia przez cały rok alarmowała opinię publiczną niewłaściwymi faktami, jakie na terenie organizacji ZNP zachodziły.

Kierownictwo wbrew przestrogom Madeja i młodej prasy weszło na drogę porozumienia się i tworzenia „wspólnego frontu“ z czynnikami politycznymi.

Zarząd ZNP skompromitował się: Wyroki w procesach „płomykowych“, wyroki w sprawie Frysza, polityczne wydawnictwo „Dziennika Porannego“, niewłaściwe operowanie składkowym groszem publicznym, oto przyczyny ingerencji czynników nadrzędnych w działalność zarządu ZNP.

Opinia publiczna fakt zawieszenia zarządu ZNP powitała z ulgą i aprobatą. Wprawdzie zwolennicy „wspólnego frontu“ radzi by ten fakt wyzyskać dla celów agitacyjnych i dla siania zamętu w Polsce, ale mamy nadzieję, że akcja ta nie znajdzie żadnego poparcia w rzeszach nauczycielskich. Nauczyciel nie ma żadnego interesu bronić ludzi, którzy nie umieli należycie piastować swoich wysokich urzędów społecznych. Dla politykierów nie ma miejsca w organizacji nauczycielskiej. Organizacja nauczycielska stawiać sobie musi daleko większe cele do spełnienia, niż być ślepym narzędziem w rękach tego czy innego obozu politycznego; w tym wypadku obozu, który, według naszego przekonania, prowadzi Polskę do zguby.

„Zet“ przez swoje stanowisko w sprawie ZNP naraził się na liczne ataki pism „ludowo frontowych“. Zawieszony zarząd groził mu nawet sądem. Groźby jednak nie wykonał. Była ona tylko zręcznym trickiem reklamowym, który miał salwować zarząd w opinii publicznej nauczycielstwa. Przeciwko A. Madejowi zarząd zapowiadał trzy procesy. Z tych tylko jeden doszedł do skutku, ale i ten zakończył się zupełną kompromitacją b. redaktora „Głosu Nauczycielskiego“ w dwu kolejnych procesach w sądzie okręgowym i apelacyjnym.

Związek Nauczycielstwa Polskiego, jak żadna inna organizacja nadaje się szczególnie do rozpowszechniania idej polskiej mocy, do stania się czynnikiem równowagi wśród zamętu doktryn i haseł, odnoszących się wrogo do polskiej „racji bytu“. Czas pomyśleć nie tylko o interesach „indywidualnych“ zawodu, ale i o całości Rzeczpospolitej.

Zawieszenie zarządu, który nie stanął na wysokości zadania, było jedynym wyjściem z sytuacji. B. zarząd bowiem nie podjął żadnej próby zmiany swych metod oddziaływania na opinię publiczną i metod wychowywania związkowca, należało go więc zlikwidować. Spodziewamy się, że organizacja nauczona doświadczeniem wybierze w przyszłości na swych kierowników ludzi czystych, dla których normy i zasady etyczne będą miały walor zasadniczy, wybierze ludzi, którzy zrozumieją na czym polega „polskość“ organizacji nauczycielskiej.

Z życia teatru

Warszawa nie jest stolicą

Nie każda decentralizacja jest dobra. Zwłaszcza w teatrze koordynacja wysiłków twórczych scen poszczególnych, i to w różnych miastach Polski, mogłaby dać doskonałe wyniki. Niestety, osławione TKKT wprowadziło tę sprawę na tor fałszywy, kompromitując na długo samą ideę takiej centralizacji. Obecnie też cieszyć się trzeba, gdy jest wprost przeciwnie, tj. gdy teatry wyłamują z tej sztywnej struktury, pracując autonomicznie, na własną rękę. Wytworzyła się bowiem sytuacja taka, że dziś nie Warszawa lecz sceny „prowincjonalne“ ratują honor wielkiego polskiego repertuaru i twórczej dynamiki naszego życia teatralnego.

Warszawa nie jest stolicą. Ambicje jej przejmują i dystansują teatry: lwowski, katowicki, wileński, krakowski i poznański, skąd dochodzą słuchy o odradzaniu się wielkiego repertuaru i otwarciu bram — w większej mierze niż dotąd — sztukom autorów polskich. Zauważył to niedawno Boy-Żeleński: aby zobaczyć premierę „Kleopatry“ Norwida, trzeba jechać do Lwowa, na „Zygmunta Augusta“ do Katowic, na „Uczone białogłowy“ Moliera (po raz pierwszy w Polsce) — do Wilna, i t. d. Nowe sztuki polskie wysokiego diapazonu oglądać można było w Krakowie (Bunscha „Koń parowy“, Morstina „Rzeczpospolita poetów“, Niżyńskiego „Trzy mgły“), w Poznaniu, wszędzie — tylko nie w Warszawie. Wielu zdolnych autorów dramatycznych w ogóle macha ręką na Warszawę, nawet nie próbując przedkładać swych nowonapisanych sztuk „stołecznym“ teatrom.

Role zamieniły się. Warszawa staje się prowincją, zaś ośrodki życia kulturalnego powstają z daleka od niej.

Pod znakiem Wyspiańskiego

Teatr katowicki (pod dyrekcją p. Sobańskiego) wystawił ostatnio „Zygmunta Augusta“ Wyspiańskiego. Reżyserował dr Pobóg-Kielanowski, znany z szeregu interesujących inscenizacyj, m. in. z wawelskiej inscenizacji widowiska Morstina „Kopernik“. Podkreślano w recenzjach głębokie przestudiowanie tekstu (rzecz arcydoniosła w opracowaniach naszego teatru monumentalnego, a traktowana zazwyczaj powierzchownie i nierzetelnie) oraz nacisk na

oprawę muzyczną (sam Wyspiański pragnął przecież, by teatr jego był polską operą narodową). Muzykę napisał A. Żuliński, artysta subtelny, wyrosły w tradycjach wielkiej sztuki polskiej, który jakby się urodził do interpretacji muzycznej dzieł Wyspiańskiego; nazwisko jego znane już jest z szeregu twórczych opracowań muzycznych repertuaru teatru krakowskiego.

Charakterystyczne jest, co pisze Morstin w recenzji z tej premiery:

„Obserwowałem widownię. Słuchano z zapartym oddechem, płakano w momentach rzewnych, publiczność nie zblazowana, żądna wielkiej poezji i wielkiej sztuki.

„Nudzili się tylko recenzenci, jeden z nich napisał to przyznając się otwarcie. I tak jest zawsze, ilekroć ma się do czynienia z wielkim repertuarem: publiczność się wzrusza a recenzent ziewa“.

Nasuwa się przypuszczenie, że musieli to być warszawscy recenzenci!

Teatr lwowski (pod dyrekcją J. Warneckiego) również otworzył sezon sztuką Wyspiańskiego. Wystawiono „Legendę“ niegraną nb. w Polsce od 33 lat, tj. od prapremiery we Lwowie za dyrekcji Pawlikowskiego. Reżyserował to przedstawienie H. Szletyński, piękne, bogate opracowanie muzyczne dał T. Sygietyński, wykorzystując hojnie elementy folklorystyczne. Reżyser zlepił w jedną całość obie „Legendy“, I-szą i II-gą. S. W. Balicki w inteligentnym artykule ,nacechowanym umiłowaniem i znajomością teatru Wyspiańskiego („Pieśń podwawelskiej Wisły“, IKC, nr. 44) poddał krytyce ten pomysł, stwierdzając, że w inscenizacjach trzeba się opierać wyłącznie na „Legendzie II“, tak ze względu na jej walory teatralne, jak i na to, że żądał tego sam Wyspiański. Zarzuca też krytyk, że reżyser nie dość uwzględnił genezę pomysłu i mitologię utworu, choć miał wskazówki w komentarzu Wyspiańskiego, w liście do M. Krzymuskiej. Tak czy tak, ambitne to i starannie przygotowane widowisko pomnożyło dorobek i doświadczenie sceny polskiej w zmaganiu się z tą wielką zagadką, jaką jest „teatr Słowa“, genialny teatr Wyspiańskiego.

S. W. Balicki, cytując słowa Mickiewicza o dramacie słowiańskim, pisze: „Ten ideał Mickiewiczowski narodowego dramatu urzeczywistnił Wyspiański...“. Powołując się na to, autor artykułu sugeruje kierownikowi sceny krakowskiej śmiałą koncepcję wystawienia, w ramach najbliższych „Dni Krakowa“, szeregu arcydzieł Wyspiańskiego, zwłaszcza „Legendy II“, „Akropolis“ i „Bolesława Śmiałego“, co „byłoby szczególnie trafnym zainicjowaniem od wielu lat projektowanego, a w trzydzieści lat po śmierci poety chyba zasługującego na urzeczywistnienie, festivalu dzieł Wyspiańskiego“.

O polski teatr... w Polsce

Pod tym tytułem drukuje w poznańskiej „Kulturze“ (nr. 40, z 3. X b. r.) reż. Czesław Strzelecki interesujące uwagi o polskim teatrze narodowym. Rozróżnia on dwie różnorodne formacje: teatr „ogólno-kontynentalny“ i teatr „narodowy“. Powołując się na klasyczny przykład Japonii, gdzie współżyją obok siebie te dwa typy („Singeki“ i „No-Kabuk“), stwierdza on, że w Polsce nie mamy takiego rdzennego narodowego teatru, takiego „polskiego no“, pomimo, że istnieje bogaty repertuar dramatyczny arcydzieł, będących jego substratem tekstowym. Obcy widz „odróżniłby teatr rosyjski od francuskiego, nawet włoski od hiszpańskiego..., ale nie powiedziałby na polskim widowisku, że to polskie“. Inscenizacja dzieł naszego teatru monumentalnego jest jednym wielkim plagiatem, mieszanką kradzionych, obcych wzorów, „habimowo - tairowsko - piscatorsko - reinhardtowsko - stanisławowskich“. Pod tym względem i Schiller jest tylko eklektykiem, nie wnosi nic oryginalnie polskiego. A przecież „teatrowi w Polsce, poza przyjętą teatralną formą europejską widowisk, należy się i stworzenie i konserwowanie widowisk o typie specyficznie narodowym...“. Należy stworzyć własny, polski szablon inscenizacyjny, który by był jak pieczęć nie do zerwania związany z dziełami naszych wielkich wieszczów, a podnosił ich dzieła do potęgi misterium narodowego... „Ta nowa polska inscenizacja nie śmie zaciemniać idei utworu, ale winna ją objaśniać — ba! nawet uprzystępniać „maluczkim“, gdy się z nową formą mniej więcej okrzeszą“.

Cz. Strzelecki cytuje wypowiedzi J. Brauna i dr. K. Krobickiego (z artykułów ich w „Logeionie“, którego był redaktorem) na temat kanonów polskiego stylu teatralnego, kładąc nacisk na dramaturgię paryską Mickiewicza i teatr misteryjny Wyspiańskiego. I kończy tymi słowy:

„Gdy świadomość takiego dzieła stanie się celem całego ogółu teatralnego Polski, może doczekamy się w niedalekiej przyszłości gmachu teatru „Polskiego No“, co stanie się polskim Beyreuth, narodowym Oberammergau Polskiego Misterium!“.

Na marginesie zaznaczamy, że w n-rze 41 „Pionu“, omówiono pokrótce art. Cz. Strzeleckiego, dodając taki passus: „Odnosząc się z należną sympatią i szacunkiem dla idei Logeionu (związanych wewnętrznie i zewnętrznie z ideami Zetu), trzeba zakwestionować uroszczenia jego wyznawców do wyłącznego reprezentowania ducha narodowego w teatrze... Trudno też będzie wyznawcom Logeionu udowodnić swe wyłączne prawo do posiadania narodowej idei polskiej w teatrze“.

Zdania te nasuwają parę uwag, od których trudno się powstrzymać. Przede wszystkim pisze się „do idei“, a nie „dla idei“; po wtóre umieszczenie w „Logeionie“ jednego artykułu J. Brauna nie piętnuje już na wieki p. Strzeleckiego, jako wyznawcy „Zetu“; po trzecie p. Strzelecki w artykule swym nigdzie nie twierdzi, że misterium, jako forma teatralna jest polskim wynalazkiem narodowym; po czwarte, niezrozumiałe są obawy, że „Logeion“ czy Zet“ chce opatentować swe „wyłączne prawo“ i t. d., gdyż prawo to ma cały teatr i cała publiczność polska. Byle tylko zechciała zeń skorzystać!

Nowe książki

Jacques Maritain: Sztuka i mądrość.

Księgarnia Św. Wojciecha. Poznań 1936.

K. i K. Górscy dokonali niezwykle pożytecznej pracy, tłumacząc niewielkie dziełko Maritain'a, zajmującego w ruchu intelektualnym Zachodu pozycję bardzo poczesną. Dziełko ma tyleż przypisów, ile treści. Każde niemal zdanie jest wieloma odnośnikami opatrzone. Wynikałoby z tego przeświadczenie, że autor oszczędny jest i ostrożny w stawianiu tez i wyprowadzaniu wniosków na temat sztuki. Sferę rozważań Maritain'a wykreśla filozofia tomistyczna. Stąd też problemy sztuki traktowane i rozwiązywane przez autora owiane są atmosferą prostoty, jasności i czystości intelektualnej, jakiej nie odczuwamy zupełnie w licznych krzykliwych dziełach pseudo - estetyków współczesnych.

Najbardziej zasadniczą częścią pracy Maritain'a jest rozdział piąty „Sztuka i piękno“ oraz rozdział siódmy „Czystość sztuki“.

„Piękno należy do porządku rzeczy transcen-

d e n t a l n y c h", to właśnie tłumaczy nam fakt, że twórca bolszewizmu, kakodemonicznej doktryny społecznej, będącej zaprzeczeniem chrystianizmu, Lenin, nie odczuwał i nie uznawał sztuki, podobnie jak nie uznawał religii. Piękno jest jednym z atrybutów Boga. Pozwalać działać pięknu, to zgodzić się na kontakt dusz za pośrednictwem istoty światła, to wytrącić dusze z płaszczyzny potrzeb i materialnej użytkowości w płaszczyznę intelektu i absolutu.

Dlatego też istotą „bolszewictwa" w dziedzinie sztuki (termin Zdziechowskiego) jest kult maszyny, kult dzieła przystosowanego do pożytku człowieka, zamkniętego w określonej kategorii materialnej.

Dwie biegunowe teorie sztuki, wypływające z tomizmu i marksizmu, ustawione na tle pracy Maritain'a, nabierają pełni wyrazu. Jakże bogatą, porywającą i budującą jest pierwsza, jak skąpą, spychającą w dół i przytłaczającą — druga!

Artysta nie jest z tego świata, „jest on na drodze, wiodącej do Boga dusze prawe, odkrywającej im rzeczy niewidoczne poprzez widoczne. Bez względu na szczupłą liczbę tych, którzy nie zechcą podobać się Bestii i zmieniać kierunku z wiatrem, będzie w nich żyła rasa ludzka przez to samo, iż będą bezinteresownie działać".

Artysta musi być uczniem Boga, „ponieważ Bóg zna p r a w o t w o r z e n i a *) dzieł pięknych"! Z tego punktu widzenia wynika jasno, że doktryna materializmu dziejowego w żadnym wypadku nie zdoła stworzyć dzieł monumentalnie pięknych, wzniosłych i doskonałych. Z tego stanowiska wynika również i to, że tak modne dziś nawoływanie do „dobrego rzemiosła" czyli t. zw. „kopytologia", „realizm faktu", modny „autentyzm" są odcięte od źródeł prawdziwej sztuki. Inspiratorem prawdziwej sztuki jest P i e r w s z a I n t e l i g e n c j a, dająca artyście według swej woli „odruch twórczy, przewyższający miarę rozumu". W świetle rozważań Maritain'a n a t c h n i e n i e, tak wyszydzane i wykpiwane dzisiaj, nabiera znowu blasku, światła i promienności.

Dziełko Maritain'a nadaje się do wszechstronnej dyskusji. W dobie obecnej, kiedy to na szpaltach czasopism literackich czyta się naciągane awangardowskie teorie sztuki, komunizujące nowinkarstwa „sztuki industrialnej", reportaże, literaturę środowiskową, stawiającą sobie za cel fenomen efektu, praca Maritain'a otwiera drzwi na n i e s k o ń c z o n o ś ć. Piękno jest dziedziną metafizyki, a nie ekonomizmu. Zrozumieć P i ę k n o, to pojąć problemy religii i filozofii.

Książkę swą Maritain zamknął „dialogami" — krótkimi, często lapidarnymi refleksjami (maksymami) na temat piękna, artyzmu, sztuki i religii.

A. Madej.

*) Podkreślenie nasze.

D. Mereżkowski: Jezus nieznany.

Przełożył J. Horzelski. Str. 384. W-wo „Płomień", Warszawa, 1937 r.

Godzi się pożałować człowieka, na którym by nie zrobiła wrażenia ta książka — jedna z najpiękniejszych o Nim, istna antyteza płaskiej ramotki Ludwiga. Jej sensem najgłębszym jest to, że zdejmuje nam z oczu łuskę p r z y z w y c z a j e n i a. Jeszcześmy ani w drobnej części nie dojrzeli i nie zrozumieli Jezusa Chrystusa, a jużeśmy Go przestali widzieć, jak codziennie oglądane przedmioty. Toteż tytuł nie kłamie, zapowiadając rzecz o Kimś n i e z n a n y m. A że namiętną miłość i uwielbienie poparła zadziwiająca w tej materii erudycja, otrzymaliśmy dzieło nie tylko na wskroś przejmujące i wzruszające, lecz i pouczające bardzo. Autor korzysta z mnóstwa apokryfów i innych źródeł, które nie weszły do naszego kanonu — ale korzysta z nich nader krytycznie i selekcyjnie; jedyne, co by mu w tym można zarzucić, to miejscami nadmierną, rosyjską wielomówność.

Niekiedy z tych pozakanonicznych wspomnień, legend, przypowieści tryska nagła błyskawica, przeszywająca do głębi. Oto np. opowiadają muzułmanie: Szedł raz Jezus z uczniami mimo psiej padliny. Jaki straszny zaduch! — rzekli uczniowie. Jakie białe zęby! — rzekł Jezus. — Cóż to za cudowna nauka dla nas wszystkich.

Czasem rzuci Mereżkowski od siebie, jakby mimochodem, uwagę jakąś, która długo potem nie schodzi nam z myśli. Chociażby ta: Chrystus zawsze mówi o Bogu: m ó j Ojciec, lub w a s z Ojciec; nigdy n a s z. — Albo ta: prawdziwym piekłem dla diabła jest to jedynie, że mimo woli służy sprawie Boga.

W księdze tej dano bodaj wszystko, co z przedziwnego żywota Jezusowego mogła wyciągnąć mądra i miłująca egzegeza. A jednak — i tego autor zdaje się nie dostrzegać — jest to mimo wszystko postawa dopiero heteronomiczna, niejako Teoria, to co jest nam d a n e. Brak zaś tu Technii, tego co trzeba z r o b i ć, dosłownie s t w o r z y ć, ażeby autonomicznie spełnić zadane przez Chrystusa problematy. Tej obecnie najważniejszej rzeczy szukajmy u Wrońskiego — uprzednio przeorawszy i użyźniwszy swe uczucia religijne dziełami takimi, jak ta niepospolita książka Mereżkowskiego.

Przekład wyborny. Szpeci go tylko natrętny a obrzydliwy rusycyzm: „nie to, a tamto" zamiast „ale tamto".

Cz. J. K.

A. G. Michel: Państwo w okowach masonerii.

Przetłumaczył, wstępem i przypisami zaopatrzył dr. K. M. Morawski. Księgarnia Drukarni Katolickiej. Katowice, 1937 r.

Książka Michela, która wyszła we Francji w wydawnictwie Federation Nationale Catholique, jest ze wszech miar godna uwagi. Jest to bogaty zbiór tekstów masońskich, pochodzących z okresu Trzeciej Republiki. W części pierwszej książki autor naświetla zagadnienie „oddziaływania masonerii na demokrację polityczną indywidualistyczną w XIX i XX wieku", w części drugiej — „Czym chce być jutro światowa dyktatura masońska: demokracją jakobińską, społeczną i światową".

Zebrane dokumenty masońskie w części I rozbił autor na pięć grup: rozdział I — Czwarta forma rządów: demokratyczna republika masońska; II — Demokracja masońska jest dyktaturą; III — Narządy dyktatury masońskiej; IV — Utrzymanie i obrona rządów masonerii; V — Czy ustrój masoński nie jest w przededniu bankructwa. W części drugiej dokumenty naświetlają trzy problemy: Rozdział I — Demokracja jakobińska; II — Społeczna demokracja masońska; III — Światowa demokracja masońska.

Zamiarem autora było „w sposób obiektywny, przy pomocy tylko dokumentów masońskich, odsłonić mechanizm tej zwierzchności tajemnej, pokazać jej działanie, cel i zgubne dla kraju i dusz rezultaty. Ujawnić, to znaczy — odjąć jej możność działania, zniszczyć ją".

Rolę demaskatora spełniają znakomicie teksty masońskie. W książce Michela sama masoneria mówi dobitnie o tym, czym jest, jak działa, jaki ma system obiegowy, jak prowadzi propagandę, na czym opiera stałość swych rzą-

dów, do czego zmierza. Autor ułożył materiał przejrzyście, poprzedził układ dokumentów przedmową, powiązał teksty wnikliwą analizą oraz wyprowadził wnioski końcowe.

Z książki Michela w całej grozie spoziera ku nam twarz tej „bande infernale" jak ją nazwał Wroński. Kto zapozna się z bogactwem tekstów Michela, nie będzie śmiał twierdzić, że Francja nie jest rządzona przez masonerię. Trzecia Republika jest w okowach tajnego bractwa— ustrój masoński zaś jest ustrojem dyktatorskim, jest obłudny i prowadzi do zepsucia.

Autor zdziera bezlitośnie maskę obłudy z masonerii, która pod pokrywką demokracji i suwerenności ludu wprowadziła we Francji oligarchię tyrańską, rządy wszechwładnych Komitetów i Lóż, rosnuwających po całym kraju sieć wpływów i zaciągów. Tryptyk masoński — wolność, równość, braterstwo — to perfidny i kłamliwy liczman demagogii. Wolność — to rządy tajemne Lóż, równość — to 33-stopniowa drabina hierarchii masońskiej, braterstwo — to nieprzejednana walka z Kościołem.

Oto prawdziwy stan rzeczy: „Władza masońska — ujarzmia tłumy w imię wolności i wyzwolenia, rządzi nimi w imię suwerenności ludu, zaciemnia ich umysły w imię światła, uciska je w imię solidarności, podnieca je do walki z jej wrogami w imię braterstwa i miłości, zabija ich umysł i duszę w imię wyzwolenia i postępu".

Do takich wniosków doszedł Michel na podstawie analizy rzeczowej podanych tekstów. Drogą indukcji i rozbioru tez masońskich oraz drogą obserwacji i doświadczenia Michel uzasadnia niejako twierdzenia Wrońskiego o masonerii wypowiedziane w „Apodyktyce" (tablica magii), w „Cent pages" (tablica: — pomieszanie dobra i prawdy) i w „Metapolityce".

Patos masońskich deklaracyj ideowych zwodzi tłumy, Nieuchronne następstwa rządów masońskich — to korrupcja i życia publicznego, społecznego i prywatnego, intrygi polityczne, pogoń za karierą i zyskiem, demagogia, panowanie kłamstwa i fałszu — jednym słowem — schorzenie całego organizmu państwowego.

Masoneria dąży do stworzenia „paradis terrestre" (raju ziemskiego); ta fałszywa idea postępu narzuca jej walkę z Kościołem i negację Boga. Pokusa raju ziemskiego („będziecie jak bogowie") jest busolą jej prawdziwych dążeń. Duch zła, kakodemonizm — to źródło inspiracyj masonerii. Potworność poczynań masonerii uwypukla fakt jej maskowania się. „Niemożliwym jest dla masonerii rządzić bezpośrednio. Umysły prawe oburzyłyby się, sumienia wolne zbuntowałyby się i jednomyślne potępienie zburzyłoby Świątynię. Subtelność i zręczna odwaga sekty polegała zawsze na działaniu przez podstawione osobistości".

Praca Michela szczegółowo rozbiera mechanizm maszyny masońskiej — maszyny mającej rzekomo uszczęśliwiać ludy, w istocie przynoszącej ludom tyranię podstępną, zabijającą samorzutność woli i rozumu człowieka.

My, Polacy, którzyśmy na własnej skórze odczuli „dobroczynną" akcję międzynarodowego bractwa (Porównaj: dr. K. M. Morawski: Źródła upadku Polski), powinniśmy ze szczególną uwagą przeczytać książkę Michela. Jest ona i pouczająca i prognostyczna. Zawiera dla nas i naukę i przestrogę, tragiczne „memento".

Skorowidz alfabetyczny nazwisk braci uzupełnia tę pożyteczną publikację. Kogo tam nie ma wśród braci! Jest i Blum i Dalimier, Leblanc i E. Ludwig, Chautemps i Sarraut, P. Valery i Vandervelde!

Przy rozważaniu działalności masonerii przychodzą na myśl słowa Chrystusa, który przestrzegał, by czuwać, bowiem wielu przyjdzie w imię Jego i będą lud zwodzić.

„Powinno się odczuwać masonerię wszędzie, ale nigdzie nie powinno się jej odkrywać" (Konwent W. Wsch. 1922, str. 362). Oto dewiza tych, którzy montują „Fronty Wspólne" (Front commun), „fronty ludowe", „fronty demokratyczne". A takich i u nas jest dużo!

Mikołaj Bierdiajew: Problem komunizmu.

Warszawa, 1937. „Rój". (Przełożył M. Reutt).

„Problem komunizmu" jest tłumaczeniem książki niemieckiej Bierdiajewa „Wahrheit und Lüge des Kommunismus", wydanej w r. 1934. Obszerne omówienie niemieckiego wydania podał „Zet" w artykule „Chrystus czy Antychryst?" (r. IV, nr 18 i 19 i r. V, nr 1, 2 i 4).

Bierdiajew zamknął swe rozważania w trzech partiach: Prawda i fałsz komunizmu, Psychologia rosyjskiego nihilizmu i ateizmu, „Linia generalna" sowieckiej filozofii. Książce polskiej brak niemieckiego corrolarium p.t. „Człowiek i technika".

Ponieważ „Zet" w wyżej wspomnianym artykule dokonał dokładnej analizy tez Bierdiajewa, dotyczących marksizmu, nihilizmu i markso-komunizmu, oraz usystematyzował owe problemy z punktu widzenia wrońskizmu, przeprowadzając źródłową krytykę całego zagadnienia, obecnie nadmienimy tylko, że polskie tłumaczenie poprzedza syntetyczna przedmowa tłumacza, wyświetlająca zasadniczy problem komunizmu w myśl założeń i tez Bierdiajewa.

Źródłowa praca Bierdiajewa, chociaż z punktu widzenia systematyki i krytyki przedmiotu posiada braki, powinna znaleźć się w rękach każdego, kto się problemem komunizmu zajmuje. Zagadnienie komunizmu jest dla nas problemem naczelnym. Bez należytego i wszechstronnego wyłuskania fałszów i zakłamań ukrywających się w tym zagadnieniu, nie potrafimy dać należytego odporu infiltracji komunizmu na grunt Polski. Oto problem zasadniczy: „Czy świat będzie odbudowany w imię Boga i Chrystusa w oparciu o pierwiastki duchowe, właściwe naturze człowieka? czy też przeciwnie, będzie się go budować w imię Antychrysta w oparciu o ubóstwione społeczeństwo i pierwiastki materialne?"

Przekład jak i przedmowa posiada liczne błędy korektorskie, aż za liczne jak na takie wydawnictwo jakim jest „Rój".

A. Madej

Wronskiana

Francja

F. Warrain ogłosił drukiem swój odczyt p.t. „La Loi de Création d'aprés Hoëne-Wroński", wygłoszony w Sorbonie w r. 1928 z okazji 150-tej rocznicy urodzin Hoene - Wrońskiego; odczyt ten wyszedł w r. 1929 w przekładzie polskim J. Jankowskiego pt. „Prawo Stworzenia według Hoene - Wrońskiego", jako prace Instytutu im. Hoene - Wrońskiego.

Obecnie F. Warrain wydaje t. III zbiorowej edycji dzieł Hoene-Wrońskiego i przygotowuje do druku t. IV.

Niemcy

K. Jankowski ogłosił w Astronomische Nachrichten, czerwiec 1937 r., Hydrodynamische Grundlagen der Kosmogonie". Praca ta stanowi ciąg dalszy rozprawy, którą omówiliśmy w nr 1 „Zetu", z dn. 1 kwietnia r.b., i stawia sobie za zadanie powiązanie mechaniki niebios z poprzednio wyłożonymi podstawami hydromechaniki; dlatego podtytuł brzmi tak: „Wesenheit der Himmelsmechanik aus hydromechanischen Ueberblick". — W tekście autor wymienia prawo najwyższe mechaniki Hoene - Wrońskiego.

W dodatku bibliograficznym do tego czasopisma znajduje się notatka sprawozdawcza z poprzedniej rozprawy K. Jankowskiego.

Bułgaria

W nr 6 za r.b. wychodzącego w Sofii czasopisma „Żytnie Ziarno" znajduje się artykuł o Hoene - Wrońskim i jego filozofii.

Rumunia

Piotr Sergescu, prof. uniw. w Cluj, członek Rumuńskiej Akademii Nauk, znany przyjaciel Polski, ożeniony z Polką, (p. Marią Kasterską), w nr 3, 4 r.b. czasopisma „Stiinta si Progres" omawia „Filozofię matematyki" Hoene-Wrońskiego, wydaną w polskim przekładzie P. Chomicza, podaje krótkie biograficzne wiadomości o Hoene-Wrońskim, o pracach T-wa Hoene-Wrońskiego w Polsce i F. Warraina we Francji i wspomina o uroczystym odsłonięciu w lutym r.b. pomnika Hoene-Wrońskiego w Neuilly.

Ameryka Południowa

W nr 420 „Revista de Ciencias" (Lima, 1937) znajduje się rozprawa P. P. Demiańczuka p.t. „Hoene-Wroński's problem of the Static equilibrium of the fluid mass". Rozważane w tej rozprawie zagadnienia poruszane były przez autora wcześniej (w r. 1935) w pracach Warszawskiego Uniwersyteckiego Obserwatorium Astronomicznego oraz roztrząsane przez K. Jankowskiego i G. Garcia. — Rozprawa ta wyszła też w osobnej odbitce.

Polska

Wyszła „Księga pamiątkowa III Polskiego Zjazdu Filozoficznego", który odbył się w Krakowie w r. 1936, zawierająca m. in. streszczenie referatów, omawiających doktrynę Hoene-Wrońskiego, a więc: J. Brauna „Rola metody genetycznej w doktrynie Hoene-Wrońskiego" i „Problem estetyki czystej", P. Chomicza „Hoene-Wrońskiego filozofia matematyki", Cz. J.-Kozłowskiego „Przyczynek do systematyki języka", J. Stępniewskiego „Doktryny intuicjonistyczne w świetle racjonalizmu absolutnego", oraz głosy w dyskusjach J. Brauna i J. Stępniewskiego, nawiązujące poruszone na zjeździe tematy do wyników filozofii absolutnej.

Na III Polskim Zjeździe Matematycznym, który odbył się w Warszawie w czasie 28.IX — 2.X 1937 r., rektor uniwersytetu Wł. Antoniewicz w swym przemówieniu powitalnym wskazał na Hoene-Wrońskiego, jako na najlepsze zaprzeczenie dość rozpowszechnionego sądu o niezdolności Polaków do spekulacyj matematycznych i filozoficznych; prof. S. Dickstein w dyskusji po odczycie prof. M. Hubera stwierdził, że Hoene-Wroński należy do tych nielicznych matematyków, którzy uprawiali matematykę tak czystą, jak stosowaną; znakomity matematyk, prof. M. Fréchet z Paryża w swym referacie p.t. „Sur les fonctions linéairement indépendantes" powoływał się na Hoene-Wrońskiego i posługiwał się t.zw. wrońskianami. — Z okazji tego zjazdu Instytut wydawniczy „Biblioteka Polska" urządził w oknie swej księgarni w Warszawie wystawę wronskianów.

W miesięczniku „Inżynier Kolejowy" za sierpień r.b. A. K. J. obszernie omawia „Filozofię matematyki" Hoene-Wrońskiego, która wyszła w przekładzie polskim P. Chomicza. Autor artykułu pisze:

Co do treści: „Pisząc tę wzmiankę, zwracam uwagę tylko na treść, która właśnie oczekuje dobrego rozwinięcia dydaktycznego, obiecując ogromne pole do popisu dla naukowca, którego ogarnia syntetyczny pęd myśli twórczej".

Co do tłumaczenia: „Zasługą tłumacza jest nie tylko to, że przyczynił się do spolszczenia tak wybitnego dzieła wielkiego myśliciela, lecz, bodaj najważniejsze, że uzupełnił dzieło to komentarzami, bez których zgłębienie treści byłoby mocno utrudnione. "

Co do wydawnictwa: „Jeśli na zakończenie dodamy, że wydawnictwo polskie zawiera zupełnie znikomą ilość usterek korektorskich, to, doprawdy, trzeba podziwiać, że, przy naszych warunkach, wielkie to dzieło ujrzało wreszcie światło dzienne na firmamencie naukowym polskim — w tak świetnej przy tym szacie drukarskiej. Wielką to jest zasługą osób, które zdecydowały się przełamać niechęć czynników, oglądających się na cienie swych sąsiadów".

Redakcja i Adm.: Warszawa, Chmielna 68 m. 37, tel. 6-61-64. Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
Prenumerata: półroczna 2,50 zł., roczna 5 zł. P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210

Zakł. Graf. „DŹWIGNIA", Warszawa, Widok 24, tel. 665-39.